

Krzysztof Kamil Baczyński

ELEGIA O CHŁOPCU POLSKIM

Oddzielili cię, syneczku, od snów, co jak motyl drża,
hańbowali cię, syneczku, smutne oczy rudą krwią,
malowali krajobrazy w żółte ściegi pożóg,
wyszylali wisielcami drzew płynące morze.

Wyuczyl cię, syneczku, ziemi twej na pamięć,
gdyś jej ścieżki powycinał żelaznymi łzami.
Odchowali cię w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,
przenierzyłeś po omacku najwstydlwsze z ludzkich dróg.

I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,
i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut — zło.
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?

1944

Adam Ogorzałek

POWRÓT DELEGATÓW

Wrócili do Sącza rano, a kilka godzin później byli już wśród załóg. Józef Kurdzielewicz, wybrany do Komitetu Centralnego największą ilością głosów, nie zdążył nawet wpaść do Rabki. Razem ze swymi imiennikami Brożek i Nowakiem odpowiada na pytania towarzyszy z ZNTK.

Slucham tej rozmowy i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Zjazd PZPR nie zakończył się z chwilą opuszczenia przez delegatów Sali Kongresowej. Siedem dni, które wstrząsnęły krajem. Siedem polskich dni, które przypięły odrodzenie partii Tydzień, który trwa.

Stanisław Kania powiedział przy pożegnaniu, że na chwilę mogą rozluźnić krawaty, ale już od jutra trzeba wejść do ludzi i zdać sprawę z tego, co wspólnie urządzili i postanowili. To właśnie robią wszyscy bez wyjątku delegaci: niosą swym wyborcom prawdę o decyzjach podjętych w Warszawie, wyjaśniają wątpliwości, interpretują zjawy uchwały.

Józef Brożek: — Przystępowaliśmy do gigantycznej pracy nadadawania emocjami i napięciem, gdyż zdmieniałyśmy sobie sprawę, że musimy sprostać oczekiwaniom społeczeństwa i swoich wyborców. Towarzyszyła nam z początku nieufność; wprowadziłem na jakieś chwile manipulację powoli doprowadzaliśmy się wzajemnego zaufania. Przeszliśmy przez wybory, jakich nasza partia nie znała. Nigdy tylu robotników i rolników nie było w kte-

rownictwie PZPR. Udział delegacji nowosadeckiej w Zjeździe oceniam jako znaczący: 13 delegatów zabrano głos w dyskusjach komisji roboczych, inni służyli swą wypowiedzi do protokołu, wszyscy nasi kandydaci przeszli w wyborach do władz centralnych, wystąpienie tow. Kurdzielewicza na sesji plenarnej zostało dobrze przyjęte.

Józef Kurdzielewicz: — Z tremą stałem przed Wami. Nigdy dotąd nie działałem na tak wysokim szczeblu. Muszę się zotem przedstawić, skoro będę Was reprezentował. Wiele spraw nie znam, pomocne będą mi lata pracy społecznej, która daje kontakt z ludźmi. Pomocne będą także przemyslenia wyniesione ze Zjazdu: że nie należy się bać demokracji, że w momentach decydujących większość reaguje zdrowo i osiąga jednomyślność.

A Józef Nowak dodaje szczegół który obrazuje zmianę klimatu w partii. Otóż na Wojewódzkiej Konferencji Partyjnej zanosilo się, że nikt nie zdecyduje konkurować z Józefem Brożkiem o stanowisko I sekretarza KW. Doktor Jerzy Skrzypski z Krynicy zgodził się stanąć w szranki, ale nie o-mieszkiał zaznaczyć, że rozumie, jaką rolę ma odegrać w tych wyborach i tylko dlatego ofertę przyjmuję.

Kazimierz Barcikowski powiedział wtedy Skrzypskiemu: — Pozdrawiam zająca tych wyborów! (Rolę „zająca” na bieżni lekkoatletycznej spełnia — jak wiadomo — zawodnik, który podąża faworyta). Jerzy Skrzypski zapamiętał ów epizod i zrewanżował się sekretarzowi KC w Sali Kongresowej, mówiąc: — Maty zajączek pozdrawia wielkiego zająca!

Czyż możliwe było jeszcze niedawno takie przekomarzenie się sekretarza z Krynicy z członkiem Biura Politycznego? Czyż tow. Nowak opowiadałby tę historię na oficjalnym forum aktywu, a ja mógłbym ją opublikować w czasach dworskiej etykiety?

Wróćmy wszakże do spotkania w ZNTK. Towarzysze Pycha, Mirek, Żelazko, Ziembowicz, Kochanik, Konar, Baran, Szim, Olszowski, Pajor, Zapolski, a także aktywiści zakładowej „Solidarności” stawiają pytania, które trzeba potraktować jako sygnały kierunkujące robotę wyjaśniającą partii w najbliższym czasie.

• co dalej z problemem żywienia narodu; jak przeprowadzić zmianę cen; kiedy ruszy reforma gospodarki; w jaki sposób nastąpi przemieszczenie siły roboczej, czy nie grozi wielu ludziom bezrobocie; co z inwestycjami; jak ułożyć się stosunki partii z ZSL i SD oraz z radami narodowymi i Sejmami; co ustalone w sprawach młodzieży, samorządności przedsiębiorstw i współdziałania z „Solidarnością”; jakie są koncepcje spłaty długów zagranicznych?

Pytań jest więcej: o intrzygi kulaarowe, o rozliczenie byłych prominentów, o los zjednoczeń.

Delegaci odpowiadają punkt po punkcie, bez uników, szczera. Będziemy o tych sprawach pisać obszernie w najbliższym czasie, bo interesują one nie tylko aktyw partyjny. Zjazd trwa nadal w tym sensie, że jego główne wątki żywo są komentowane i uzupełniane przez całą odradzającą się partię, a także przez tych bezpartyjnych, którzy uświadamiają sobie, że w lipcu 1981 roku dokonali się w PZPR przeobrażenia ważące pozytywnie na losie całego narodu.

Mięsa, mieszań i chleba nie przybyło jeszcze od tych przemian. Ale jaśniej i czystiej zrobiło się wokół nas. Reszta zależy od zgody społeczeństwa i zbiorowego wysiłku, którym kierować powinniśmy mądrzy i prawy.

Przybyło wiary, że tak się może stać. Że nowa audycja budowana jest na realiach.

PIĘĆ PYTAŃ DO HANDLOWCÓW

Szanujemy trud bardzo wielu handlowców, zwłaszcza tysięcy kobiet za sklepową ladą. Równocześnie dostrzegamy jednak oznaki ociężałości zarówno w myśleniu jak i w działaniu niektórych dyrektorów, prezesów i kierowników. Do nich przede wszystkim oraz do ich zwierzchników w administracji państwowej kierujemy garsć refleksji zrodzonych w trakcie upokarzającego mitrżenia czasu w kolejkach. Zapytujemy:

• **Dlaczego** nie utworzono dotąd stałej giełdy, zajmującej się sprzedażą rozmaitych artykułów dla dzieci? Iteż wózekzków, rowerów, sprzętu sportowego zagraza mieszkani, piwnice i balkony! Dzieci rosną szybko, nie wszystko niszczy, niejedna rzecz mogłaby dalej służyć innym maluchom. Społeczeństwo o wiele od nas bogatsze korzystając z rzeczy używanych. Czemu — wobec niedostatku

obuwia dziecięcego, ilustrowanych książeczek, nart, łożeczek i tysięcy drobiazgów — nie zorganizujemy pośrednictwa w ich nabywaniu? Sprzedaż „z drugiej ręki” — zresztą nie tylko rzeczy dziecięcych — cieszyłaby się zapewne powodzeniem, zwłaszcza obecnie. Kiedy zatem nasz handel wydzie naprzeciw biedniejszej części społeczeństwa?

• **Czy nie da się** zwiększyć operatywności administracji handlowej w zakresie rzetelnej informacji oraz kontroli? Personel sklepu — wielokrotnie to stwierdziliśmy — nie orientuje się, jakie dostawy otrzyma, nie umie powiedzieć np., kiedy będzie chleb, a kiedy dżem.

Po godzinie piętnastej większość urzędników odpowiedzialnych za handel korzysta z prawa do wypoczynku. Czy nie można tak zorganizować ich pracy, by pewna część towarzyszyła jednak funkcjonowaniu produkcji, transportu i sprzedaży aż do zamknięcia sklepów? Czy wszyscy są potrzebni od rana?

• **Dlaczego** w sezonie letnim tak nieliczne są przypadki wychodzenia ze sprzedażą na zewnątrz sklepu? Właściwie tylko w Zakopanem zauważyliśmy stragany na ulicach ułatwiające zakupy. Wciąż za mało ich w Nowym Sączu i innych miejscowościach regionu. Zwłaszcza sprzedaż owoców i warzyw mogłaby się dokonywać w tej formie.

• **Czy nie byłoby celowe** w aktualnej sytuacji przeprowadzenie gruntownych zmian w funkcjonowaniu dużych sklepów samoobsługowych? Czemu służą dzisiaj owe długie i puste półki pilnowane nadal skrupulatnie przez personel? W czym interesie leży tworzenie wąskich gardeł najpierw przy wejściu, gdzie czeka się na koszyk, a następnie przy kasach? Samoobsługa ma sens przy obfitości i różnorodności towarów. Zdrowy rozsądek podpowiada, że trzeba zdemonstrować część półek, ustawić w tym miejscu lady i skierować do obsługi klientów cały personel sklepu.

• **Dlaczego** w momencie otrzymania dostawy pieczywa nie zwiększa się liczebnie obsługi stoiska z chlebem? Znany przypadek, że jedna ekspedientka obsługuje tasiemcową kolejkę po pieczywo nawet wtedy, kiedy kilkanaście jej koleżanek pozostaje beczynnych przy innych stoiskach, które nie mają po prostu towaru.

Podobnych pytań mamy więcej. Sądźmy, że Czytelnicy wesprą nas dalszymi propozycjami. Nade wszystko oczekujemy wszakże konstruktywnych odpowiedzi od szefów nowosądeckiego handlu.

Mówi Wanda Czubernat z Raby Wyżnej

Co zrobić, żeby w Polsce było lepiej? Powierzyć Urząd Rady Ministrów mojemu ojcu. On swoim chłopskim rozumem wszystkiemu sprostą. Przestać jęczeć i wziąć się wreszcie do roboty. Mój ojciec często mówi: „Jak nie mogę poradzić z jednej strony, biorę się za drugą. Zawsze w końcu postawię na swoim”. Kto to widział, żeby chłop walczył w Sejmie o widły czy kosy. Tam trzeba walczyć o swoją godność, o miejsce dla chłopu w socjalistycznej Polsce.

Najbardziej boli mnie niedocenianie pracy wiejskich kobiet. Dowód: mamy 1 ha pola i z niego musi żyć 10 osób. Każdy, kto kiedykolwiek zetknął się z pracą na roli, wie, że nie się nie zmarnuje. A tu jeszcze trzeba sprzedać państwu towarów za 15 tysięcy złotych. Pytam skąd? Matka nie dostala kartek na mięso. Uznano więc, że nigdy nie pracowała... Nie umrze z głodu, ale tutaj chodzi o jej honor, o honor każdej wiejskiej kobiety.

W Rabie Wyżnej większość mieszkańców stanowią chłopcy-robotnicy. Tacy wiedzą, jak sobie poradzić w urzędzie. Wyobraźmy sobie jednak chłopca z lubelskiego, który ma 20 kilometrów

do Urzędu Gminy, a do tego często nie umie pisać i czytać. Jak on sobie może dać radę z przesterem administracyjnym? Kto mu wytłumaczy, gdzie się udać, żeby załatwić choćby najprostszą sprawę? Oczywiście zawsze wtedy znajdzie się jakiś cwaniak, który mu pomoże, ale nie za darmo. Dopóki najprostszą sprawę trzeba będzie załatwić u 10 urzędników, nie zlikwidujemy łapówek, ani kumoterstwa. Weźmy ta-



ką służbę rolną — coś strasznego. Ten, kto ją wymyślił, powinien za to siedzieć w więzieniu. Na wsi potrzebny jest jeden, ale za to dobry agronom, który przyjdzie do chłopu i poradzi, a nie tłum umęczonych papierkową robotą dziewcząt. Inny przykład: mówimy tyle o samorządzie wiejskim. Mo-

że więc pani mi powie, kto nim właściwie jest? Rada Gminna, „Solidarność Wiejska”, naczelnik, a może Kółko Rolnicze? Dawniej, gdy potrzebowałam cementu, pisałam podanie do naczelnika i grzecznie czekałam. Po 2—3 latach przychodziło pismo, żeby się zgłosić po odbiór cementu i było po sprawie. Teraz naczelnik tego nie załatwia, „Solidarność” też umywa ręce, więc kto?

Mamy w gminie naczelnika, nazywa się Tadeusz Hudomient. Dobry, energiczny gospodarz. To zresztą widać przejeżdżając przez wieś. Zbudował ośrodek zdrowia, szkołę, nie miał oporów w stosunku do „Solidarności”, nawet sam chodził na zebrania. Nie powiem, żeby naczelnik nie miał wrogów. Zawsze przecież znajdzie się ktoś, komu czegoś nie załatwił, ale Hudomient wyznaje jedną zasadę: „Nie odrzucać spraw do teckizacji, ale — w miarę możliwości — załatwiać na bieżąco, od ręki”. Ten jego zapał i energia udziela się wszystkim dookoła; wiele w naszej gminie zrobiono w czynach społecznych. Gdy przyjechali do nas górale z Orawy, żeby założyć „Solidarność”, od razu powiedzieli: „Ale tu u was czysto, musicie mieć dobrego gospodarza”.

Pamiętam, zrobiliśmy wiejskie zebranie. Przyszło kupę ludzi i od początku z pretensjami do naczelnika: a to nie ma węgla, a to brakuje snopowiązałek. A Hudomient ma to: „Wiem, że nie ma, ale powiedzcie: czy źle podzieliłem te dwie snopowiązałki, które nam przydzielił?”

Na następnym zebraniu czy nikt nie przyszedł.

Jeszcze jedna sprawa, która powinna zostać załatwiona: wyraźnie określić uprawnienia dla 1 sekretarza KG PZPR. Teraz mamy nowego, trudno go ocenić. Jednak do jego poprzednika miałam pretensje. Ile to razy mówiłam mu: „Zróbcie chłopom prasówkę, niech spotkają się i pogadają o tym, co się na świecie dzieje. Odpowiadał mi: — Mają przecież gazety. — A chłop lubi słuchać, a nawet — gdy znajdzie czas — podyskutować o tym, co tam w Chinach słychać. Gdyby na takie spotkanie przyszło ich choćby 30, to już byłby sukces.

Mój ojciec ma takie porzekadło: „Gdzie gospodarz energiczny, tam koło domu czysto”. W Rabie Wyżnej ono się sprawdziło.

DANUTA BINEK

Absolwent Akademii Handlowej, pan **ZDZISŁAW A. F. PIETRZYKOWSKI** z Krynicy nadesłał do nas obszerną wypowiedź nawiązującą do apelu zawartego w artykule zatytułowanym „Wiecej czerwonych ciałek krwi”. Oto niektóre przemyslenia z tej korespondencji:

• **O KADRACH KIEROWNICZYCH.** Działaczom społecznym jest dziś szczególnie potrzebna odwaga formułowania własnych sądów, ocen i wniosków. Wartościową cechą kierowników musi być ambicja poparta wiedzą, a także upór i systematyczność w realizowaniu trudnych zamierzeń. Bywa wszakże i tak, że jednostki bardzo ambitne forsują zamierzenia nierealne i nawet wręcz szkodliwe dla państwa. Potrzeba zatem dużej wiedzy, samokrytycyzmu, odpowiedzialności i umiejętności korzystania z pomocy naukowców, by korygować swą ambicję.

• **O ZAUFANIU.** Aby wzbudzić całko-

LIST Z KRYNICY

wite zaufanie społeczeństwa do władzy, do partii — przedstawiciele tej władzy winni być wybierani w sposób nieskrępowany. Do sprawowania funkcji państwowych należy dobrać ludzi uczciwych, sumiennych i utalentowanych (o ile możliwe — doświadczone), którzy dają rekojmie, iż poddają zadaniom. Jeśli łamią społecznie akceptowane zasady postępowania, trzeba ich odwoływać ze stanowisk, nie czekając na zakończenie kadencji.

• **O INFORMACJI.** Prawda nie zabija, zabija kłamstwo i półprawda. Szczególnie w sytuacji kryzysowej społeczeństwo jest wyczułone na jakość informacji, które muszą być zgodne ze stanem faktycznym, szybkie, solidne i szczerze. Tylko takie informacje dobrze służą demokracji socjalistycznej.

• **O SOCJALIZMIE.** Kierownictwa rola partii polega współcześnie na przewo-

dzeniu różnym warstwom i środowiskom. Związek patriotyzmu z socjalizmem sprawia, że społeczeństwo coraz wyraźniej docenia rolę państwa. Socjalizm stał się obecnie sposobem życia narodu polskiego. Jeśli krytykujemy niedostatki, jeśli mówimy o potrzebie rozwoju teorii socjalizmu, to ta nasza aktywność intelektualna i moralna musi mieć za cel polepszenie warunków życia obywateli i umocnienie państwa polskiego. Trzeba dziś wyskutować nie o socjalizmie abstrakcyjnym, lecz o perspektywie socjalistycznej Polski. Postawa intelektualna i moralna przed deformacją nacjonalistyczną.

• **O ROLI ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH.** Zysk przedsiębiorstwa socjalistycznego jest własnością ogólnonarodową i nie może być dzielony jedynie między pracowników. Wydziela się z niego część wpłacaną do budżetu pań-

stwa, część akumulowaną w przedsiębiorstwie oraz część przeznaczoną dla załogi. Kłopot zaczyna się wtedy, kiedy przedsiębiorstwo ponosi straty i to zwinione! Niczym nie można usprawiedliwić złej pracy, marnotrawstwa surowców, wadliwej organizacji przedsiębiorstwa. Dziś szczególną uwagę trzeba zwrócić właśnie na te aspekty i tu widzę wielką rolę związków zawodowych.

• **O SKARGACH OBYWATELI.** Ważną bronią w rękach prostego człowieka pracy powinna stać się instytucja skarg i zażaleń. Nie działa ona jeszcze właściwie. Skargi wracają do podległych służbom instytucji i urzędów. Tymczasem powinny one być rozpatrywane przez czynnik niezainteresowany, niezawisły, nie powiązany bezpośrednio z zakładem czy urzędem, którego dotyczy. Tylko wtedy decyzje będą obiektywne i sprawiedliwe. System dotychczas stosowany nie zdaje egzaminu i należy go jak najszybciej uczynić wiarygodnym.

Z należytym szacunkiem pozostaje

ZDZISŁAW A. F. PIETRZYKOWSKI

Odrodzenie partii

Uważam, że gwałtowne zagęszczenie ognisk zapalnych w postaci przygotowywanych akcji strajkowych na okres bezpośredni po Zjeździe partii — to akcja zaplanowana świadomie jako test dla nowego Komitetu Centralnego. Może chodzić zarówno o sprawdzenie, jak ten nowy skład KC zachowa się wobec sytuacji skrajnych, jak i o próbę zmuszenia go do podjęcia decyzji, które prowadzą do podjęcia osłabienia, bądź do unicestwienia wiarygodności już w pierwszych dniach jego kadencji.

Tylko, że sytuacja jest już na tyle inna, iż działania takie jak planowane strajki, „marsze głodowe”, demonstracje, wysuwanie pakietów nowych żądań, blokowanie reform gospodarczych niby-kontropropozycjami, zwłaszcza zaś działaniami, które rezonują na ulicy — mogą prowadzić do następstw nieobliczalnych. Każdy, kto dzisiaj, w klimacie strasznego zniechęcenia życiem w kolejkach, bezwzględnością spekulacji, pasywnością władz administracyjnych — zresztą wszyscy wiemy, czym jesteśmy zniechęceni i nie ma potrzeby przypominać tego raz jeszcze — o toż każdy, kto w takim klimacie waży się nacisnąć guzik eskalujący kolejne strajki, może doprowadzić do katastrofy narodowej. Jak nazwać wobec tego działania eskaltujące ludzi, dezorganizujące te resztki porządku, jakie jeszcze przetrwały?

Już rok mija od czasu, gdy podniósł się fala robotniczego protestu. Protestu, którego racji nikt nie ośmielił się zakwestionować, bo był skierowany przeciwko egoistycznej polityce wąskich grup panujących, przeciwko polityce faktycznej zdrady interesów klasy robotniczej. Przez ten rok, rok wstrząsów niezwykle dramatycznych, nikt w Polsce z racji konfrontacji bardzo ostrej przeciw — nie zginął. To fenomen. Antytechnokratyczna rewolucja robotników przeprowadzona bezkrwawo, z poczuciem pełnej odpowiedzialności za los Polski.

To co było w partii zdrowe, co zachowało swoje morale w klimacie przeciwieństwa nie sprzyjać moralności — na swój wielki wkład do obrony narodu przed najgorszymi następstwami przesielenia. Właśnie dlatego partia zdolała się odróżnić tak szybko i może się uwiarygodnić. Ci, którzy traktują ją jako przeciwnika groźniejszego dla nich po uczynieniu niż przed tym — gotowi są w imię swoich racji politycznych zaryzykować los narodu. Już kiedyś tak było, że za ich inflexji zapłacił kto inny. Oby historia się nie powtórzyła nie tyle farsa, co prawdziwą tragedią.

WIESŁAW MYŚLEK
(„Argumenty”)

Piorem innych

Dokąd idziecie?

Na łamach „Polityki” ukazał się **LIST DO DORADCÓW I EKSPERTÓW EKONOMICZNYCH NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”**. Jego autorem jest Wacław Wileziński z Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu. Oto fragmenty tego listu:

Na bydgoskim spotkaniu z nowo powołanym przewodniczącym Państwowego Komisji Cen, prof. dr hab. Z. Krasniskim w dniu 23 czerwca 1981 r. jeden z Was oświadczył przy aplauzie sali, że „Solidarność” nie odda ani złotówki z podwyżek płac uzyskanych po sierpniu 1980 r.

Stanowisko to musi budzić zdumienie i zakłopotanie u każdego jako tako zorientowanego ekonomisty.

Ponieważ nie można Was pościć o niezdolność do logicznego rozumowania — nie można też przyjąć założenia, że nie dostrzegacie pilnej konieczności zarówno oważnej podwyżki cen bez pełnej rekompensaty, jak i konieczności szybkiego wzrostu wydajności pracy, obniżki kosztów produkcji itp. Widzicie, że konieczność tak samo dobrane jak i. Dlaczego więc zajmujecie tak niezrozumiałe stanowisko godzące w interes gospodarki narodowej, w interes nas wszystkich? Otóż nasunąć się tu może przypuszczenie, że jest to stanowisko tylko wobec tego systemu, tylko na użytek tego rządu, jaki mamy w naszym kraju za stanowisko Wasze uległoby być może, zmianie wobec innej władzy, w innym układzie stosunków politycznych, że zgodzilibyście się wówczas zarówno na podwyżki cen, jak i na zupełnie inne mechanizmy ekonomiczne.

Być może spotkani są z Waszej strony z zarzutem insynuacji, ale przecież w naszej konkretnej sytuacji politycznej gospodarce zajmujecie dziwne stanowisko nie tylko w kwestii podwyżek cen żywności. Nie widąc Was w pierwszych szeregach walki o reformę systemu gospodarczego, stwarzającą szanse reintegracji ludzi pracy dookoła problemów racjonalnego gospodarowania. Wolicie natomiast portretować na najgorszym szczeblu, stawiając zadania ekonomiczne trudne do przyjęcia, usiłując przerzucić na państwo całą odpowiedzialność za wszystko, co dzieje się dziś w kraju.

Wynika stwierdzić, że Wasza dzia-

łalność prowadzi obiektywnie do wyobcowywania społeczeństwa od państwa.

Tak więc wypadła postawić Wam pytanie zasadnicze: dokąd idziecie, do czego zmierzacie?

Czy do przewyższenia zbiorowym wysiłkiem wielkiego kryzysu społeczno-gospodarczego w oparciu o socjalistyczne podstawy ustrojowe i istniejący układ stosunków politycznych w świecie? Czy też może do porażki socjalistycznego państwa na rzecz systemu, w którym Polsce na pewno nikt nie zagwarantuje niczego? Nie chce dopuścić myśli, że o to właśnie Wam chodzi.

Prognoza Urbana

W najbliższych dniach spodziewana konflikty władz z niekierownikami zakładów i grupami zawodowymi, walka o kształt samorządu w zakładach, czyli o władzę nad gospodarką, zjazd „Solidarności”, w którego przededniu choćby z względów wyborczych nastąpił musi zaostrezenie tonu działań tego związku, czekająca nas zaburzenia społeczne i manifestacje związane z fatalnym zaopatrzeniem rynku. Formować się zacznie stosunek ruchu robotniczego w różnych krajach do zjawisk, które wyeksploatowały w polskiej partii Zjazd Nadzwyczajny. Wszystkie te burze sprawić muszą, że symbolizująca PZPR sala zjazdowa, zamknięta w sobie w czasie obrad — otworzy się na świat zewnętrzny. Po zakończeniu zmaganiów wewnątrzpartyjnych, jakie dominowały rozpoczynając się walka o pozycję PZPR w życiu politycznym Polski i przy rekompozycji władzy nad krajem.

Sądząc, że w masach PZPR nastąpi pewien zwrot. Dotychczas były one w znacznym stopniu przynajmniej w dużych miastach, sprzymierzone z ogólnymi „Solidarności”. Płaszczyzna zbliżenia była wspólna choć odmienną sposobem sprawowania władzy w Polsce, składu osobowego władz, podległości do odpowiedzialności działaczy odpowiedzialnych za fiasco lat siedemdziesiątych lub winnych przywalił itd. Obecnie le podstawy sojuszu tracą aktualność. Mimo, że Zjazd do władz centralnych wybrał znaczącą grupę członków „Solidarności”, zanotował on zarazem ton wobec politycznych aspi-

racji tego związku. Obecnie więc, po zakończeniu okresu walki o władzę w partii, PZPR jako odrodzona i skonsolidowana całość przystąpi do ostrzejszej rywalizacji z „Solidarnością” o władzę w państwie w ogóle oraz w każdym zakładzie, gminie czy miasteczku z osobna.

IX Zjazd po części sprawił, po części zaś tylko umysłowo to, że PZPR staje się siłą realną, która chce i może walczyć o władzę, o wpływy, o umysły ludzkie, o kształt poszczególnych rozwiązań ustrojowych. Dotychczas bowiem znaczną część dółów PZPR prowadziła zmagania o władzę partii grała po trosze przeciwko pozycji swojej własnej partii w życiu kraju.

(„Polityka”)

Zdrożeje - lub zniknie

Rozwój naszego piekarnictwa opierał się na założeniu, że pieczywa będziemy jeść coraz mniej, gdyż tak dzieje się we wszystkich krajach, w których wzrasta stopa życiowa. Jak wiele innych i to założenie okazało się nabył optymistyczne: przyszły lata ciuda i nasze powszednie kromki, zamiast cienie — pogrubiały. Z każdym miesiącem tego roku sprzedaż pieczywa wzrasta. Szybko w małych miastach zwiększenie zakupów pieczywa zdaje się wskazywać, że wykupywanie chleba na paszę dla zwierząt gospodarskich nie jest mitem, zwłaszcza, że skokowy wzrost nastąpił w kwietniu, kiedy wprowadzenie kartek na mąkę i kasze uniemożliwiło czynienie z tych produktów paszowego użytku.

W tej sytuacji konieczność doinwestowania piekarniwa staje się wręcz palącą. Zanim jednak budowa nowych piekarni zaczęła dawać efekty, możemy przy obecnym wzroście zapotrzebowania na pieczywo, przeżyć momenty krytyczne. Deliberując nad podwyżkami cen artykułów spożywczych — ich wysokością i kolejnością — bierze się m. in. pod uwagę w jakiej dziedzinie nie może ona przynieść poprawy zaopatrzenia. Ocenia się, że podwyżka cen pieczywa daje szansę stworzenia takich warunków, w których przynajmniej na chleb nie trzeba będzie polować. Likwidacja zakupów chleba na paszę, większa troskliwość w obchodzeniu się z pieczywem w transporcie i handlu, ograniczenie marnotrawstwa pieczywa w gospodarstwach domowych pozwoli — nawet przy pewnym wzroście spożycia, wynikającym z niedostatku innych artykułów — utrzymać ciągłość zapotrzebowania na rynku.

Równie realne, a na dodatek bardzo bliskie jest jednakże niebezpieczeństwo, że bez rychłej zmiany cen, rynek pieczywa — jak wiele innych — zalamie się i wtedy nieunikniona będzie sprzedaż chleba na kartki.

(„Życie Gospodarcze”)

ROZMOWA Z PREZYDENTEM

BOLESŁAW BASIŃSKI, lat trzydziści trzy, żonaty (dwójce dzieci), absolwent Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie — od 1 lipca br. jest prezydentem Nowego Sącza.

Jakie jest największe zmartwienie prezydenta blisko siedemdziesięcioletniego miasta?

— Dotkliwy brak mieszkań, oczyszczalni ścieków, kolektorów, przedszkoli. Gruntownego remontu wymagają stare budynki i urządzenia komunalne.

— Tymczasem mijają kolejne terminy oddania do użytku wielu inwestycji.

— Istotnie. Teraz inwestycje to nie budowa nowych obiektów, ale cięcia finansowe i koncentracja robót już rozpoczętych, a najpotrzebniejszych miastu. Zamiast rozgrzebywać się na wielu placach — cały potencjał wykonawczy winien być skierowany na jedną, dwie inwestycje, które muszą być zakończone w terminie. Nie zawsze jednak znajduje zrozumienie. Spółdzielnia „Przełom” odmawia załączenia łączu ciepłowniczego dla przedszkola przy ulicy Nadbrzeżnej. W sytuacji, gdy 332 dzieci nie zostało przyjętych do przedszkoli — taka postawa zarządu trudno nie nazwać aspołeczną. Z większą niż dotychczas energią musimy zabierać się za wykończenie przychodni przy ulicy Waryńskiego, wytwórni płyt OWT-67 przy ulicy Zielonej, izby wytrzeźwień, urobinowa osiedla Barskie II B, kanalizację Wolek, infiltracyjnych ujść wodnych. Łada dzieł na emeryturze komunalnym nie będzie już ani jednego miejsca na pochówek.

— Nowy Sącz — niedługo będzie miastem kwiatów i zieleni — to nie obecnie w śmieciach.

— Za to, co się dzieje w mieście, odpowiada nie tylko prezydent, ale także inni urzędnicy magistratu, dyrektorzy przedsiębiorstw oraz sami sądownicy. Rozluźnienie dyscypliny społecznej dotyczy nie tylko brudnych ulic. Moje zadanie polegać ma na koordynacji i organizacji działań instytucji i obywateli dla dobra miasta. Nie mam jednak bezpośredniego wpływu na pracę Zakładu Oczyszczania Miasta. Widzę, że więcej tam dyrektorów i sekretarek niż pracowników fizycznych. Wiadomo, że zamiatanie ulic nie jest najbardziej poszukiwanym zajęciem, ale to nie tłumaczy brudu i nieopierzonych koszy. Wydaje mi się, że niechby racjonalnie określone są tutaj kompetencje prezydenta.

— Na dziś najbardziej dezerwuje pogłębiający się niedowład organizacyjny machiny handlowej: niedowład tym większy, im mniej towarów na półkach.

— Nie zamierzam usprawiedliwiać handlu, sam mam ogromne pretensje, szczególnie do WSS „Spolem”, ale trzeba też wiedzieć, że ta gałąź cierpi na brak personelu, płace rosną w niej wolniej od średniej krajowej. Na 123 pracowników Urzędu Miejskiego — w Wydziale Handlu i Usług pracują cztery osoby, w Wydziale Reklamacji tylko dwie. Uciekamy się do pomocy komitetów osiedlowych, które zatrudniają ludzi na zasadzie umów zlecenowych. Ale to i tak nie wystarcza. Blocki w ratuszu wydaje pracownik z Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki.

— „Wojenne” warunki sprzedaży wymagają wprowadzenia „wojennych” działań i środków...

— Właśnie! Powołalem doradczy sztab, w skład którego weszli między innymi kierownicy wydziałów: rolnego, handlu i organizacyjnego. Musimy

zmusić administrację, handlową i zaopatrzeniową do szerszej penetracji kraju w poszukiwaniu towarów. Nie można czekać aż manna sama z nieba spadnie. Słyszę, że w Proszowicach można kupić tony ogórków po 3 złote kilogram, a pracownicy ZNTK wychodzą z pracy skarżąc się na ich brak.

— Czemu miała służyć decyzja ograniczenia sprzedaży dwudziestu podstawowych artykułów tylko dla mieszkańców Nowego Sącza?

— Po prostu ochronie interesów miasta i jego obywateli. Oczywiście sprzedaż do „jednych rak” nie gwarantuje nikomu nabycia określonej ilości towarów. O wiele bardziej korzystne będzie uruchomienie prywatnych placówek usługowych i wytwórczych. Uważam, że kilku dobrych rzemieślników może w widoczny sposób poprawić stan zaopatrzenia np. w chleb. Po heroicznych bojach z byłym dyrektorem WSS „Spolem” powrócili do zawodu znani piekarze, Tadeusz Kluczak i Wojciech Orzech. Liczę również na wznowienie działalności piekarni Alojzego Hojdysa przy ulicy Nawojowskiej. Warto wspomnieć, że piekarni Jawora i Lesiańska zwiększyły wypiek o trzydzieści procent i wspólnie z nowymi są w stanie wypełnić dokuczliwą lukę w zaopatrzeniu w pieczywo.

— Miał pierwszy miastec Pańskiego krędownia. Jak Pan traktuje swoje stanowisko?

— To nie jest żadne stanowisko, tylko wypełnianie obowiązków. Nie biorę udziału w bankietach i felach. Gdybym kiedyś doszedł do wniosku, że „piastuję” stanowisko, byłbym skończony jako człowiek i jako kierownik urzędu.

Rozmawiał JERZY LESIAK



Dwa oblicza handlowców

Pewnego dnia do kiosku „Ruch” przy ulicy Lwowskiej, u zbiegu z ulicą Naciszowską dostarczono w godzinach południowych proszek do prania. Tymczasem ustawia się kolejka (ok. 50 osób). Pomimo, że samochód dostawczy dawno odjechał, a towar został przyjęty i przełączony przez przyjmujące panie — sprzedaż nie następowała. Obie ekspedientki paliły papierosa i wymieniały między sobą uśmiechy. Kolejka wciąż rosła, a wraz z nią — zdenerwowanie ludzi. Po kilkudziesięciu minutach wyjaśniło się, że przyczyną tego zastój jest jeden mężczyzna, inwalida, któremu odmówiono sprzedaży proszku poza kolejnością. Mężczyzna ten nie dał za wygraną i nie opuszczał miejsca przed okienkiem. Wezwany patrol MO orzekł, iż mężczyzna ten ma prawo otrzymania towaru bez kolejki, mimo to panie ekspedientki nie chciały sprzedać tej jednej paczki proszku twierdząc, że w kioskach „Ruch” nie są honorowane żadne książeczki inwalidzkie i sprzedaż poza kolejnością jest niemożliwa. Twierdziły ponadto, że inwalida ów obrażał je słownie, więc żądają publicznego przeproszenia.

Napięcie w kolejce narastało. Ludzie głośno wyrażali swe niezadowolenie; po upływie ok. 1,5 godziny bezsensownego stania „wyirwano” inwalidę i przyniesiono paczkę proszku i rozpoczęto sprzedaż. Jakież było zdziwienie i zdenerwowanie ludzi, gdy po sprzedaniu jeszcze... czterech paczek sprzedawczynie oświadczyły, że proszek się skończył, podczas gdy naoczni świadkowie twierdzili, że wyładowano kilka kartonów, w każdym po ok. 20 sztuk. Na pytanie gdzie podzielił się pozostały proszek i gdzie faktury starsza z pań arogancko odmówiła. Podobne zachowanie się pracowników wspomnianego kiosku nie jest niestety pierwszorzyną...

Pozytywnym dla odmiany przykładem z tej samej branży może być postawa załogi i kierownika pawilonu handlowego WSS Społem Nr 110 przy ul. Lwowskiej, a więc naprzeciw wspomnianego kiosku. Tu też dostarczany jest proszek do prania. Zawsze jednak sprzedaż i dzie sprawnie, bez kłótni, niepotrzebnych przestojów i zdenerwowania ludzi. Proszek sprzedawany jest na zewnątrz sklepu pod zastawieniem. Któregoś dnia proszek rozpoczęło sprzedawać w godzinach popołudniowych, ale dostawa była tak znaczna, że nie zdołano sprzedać wszystkiego do godz. 18.00, kiedy to sklep winno się zamykać. Wówczas to kierownik Wojciech Florek osobiście wyciągnął się do sprzedaży. Sprzedawano do godz. 21.00; każdy kto stał w kolejce otrzymał po 2 paczki proszku.

Wspomniany pawilon — pomimo znanych trudności — jest dobrze zaopatrzonego w różnego rodzaju towary gospodarstwa domowego. Widać dużą dbałość o te sprawy ze strony kierownictwa.

Jak widać, można jeszcze w dzisiejszych trudnych dla handlu czasach spotkać ludzi życzliwych, kulturalnych, dbających o klienta.

M.S.
(nazwisko i adres znane redakcji)

Jerzy Leśniak

Nowa kadencja partyjnej „Temidy“

W przemianach politycznych w kraju i partii szczególną rolę odgrywają komisje kontroli partyjnej. Duży jest bowiem nadal nacisk na rozliczanie ludzi, którzy ze względu na swą postawę moralną, błędy polityczne lub wykroczenia gospodarcze wyrządzili i wciąż wyrządzają szkody społeczeństwu i partii.

Kilka dni przed IX Zjazdem PZPR obradowała nowosądecka Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej, która dokonała wstępnego rozróżnienia pretensji kierowanych pod adresem różnych osób; zarówno tych „na świeczniku” jak i szeregowych członków partii. W dyskusji ujawniła się refleksja nad mechanizmami popełniania błędów i możliwości zapobiegania im w przyszłości.

— WKKP jest w tej chwili organem konferencji delegatów — stwierdził jej przewodniczący Mieczysław Rokita — bezpośrednio na niej wybranym, a nie jak dotychczas agendą Komitetu Wojewódzkiego. Jesteśmy równorzędni z instancjami powołanymi przez konferencję. Do tej pory członkowie KW i Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej byli wyłączeni spod naszego orzecznictwa. Dziś ich sprawy leżą już w naszej kompetencji. Będziemy pociągać do odpowiedzialności członków partii, bez względu na zajmowany „stolek”; wszystkich, którzy złamią dyscyplinę partyjną, nie stosując się do zasad centralizmu demokratycznego lub dopuszczając się wykroczeń natury moralnej, nadużywania stanowisk, łapownictwa i niegospodarności. Ale nakładanie kar partyjnych to nie wszystko. Musimy również skutecznie bronić ludzi przed niestusznymi oskarżeniami tak, aby w przyszłości nie trzeba było kogoś rehabilitować wskutek pochopnych decyzji.

Członkowie Komisji powołali cztery zespoły orzekające.

I. zespół orzekający Nowy Sącz — Krynica (przew. Józef Giza)

II. z.o. Gorlice — Grybów (przew. Mieczysław Wilczkiewicz)

III. z.o. Limanowa — Rabka (przew. Władysław Wójcik)

IV. z.o. Nowy Targ — Zakopane (przew. Henryk Zwijacz)

Po kilku korektach (między innymi Jordanów przyłączono do zespołu III, a Ochotnicę Dolną do IV) członkowie komisji zapoznali się z pełnym wykazem spraw które aktualnie znajdują się w ewidencji WKKP. Jest ich około siedemdziesiąt, z tego blisko połowa tak zwanych „ciężkich”. Znaczna część pozostała w „spadku” po poprzedniej WKKP.

Ponownego rozpatrzenia wymagają sprawy byłych członków KW, byłych pracowników administracji państwowej szczebla wojewódzkiego i podstawowego, kilku dyrektorów i sekretarzy miejsko-gminnych. Najbardziej jętrzące są wciąż niezakończone sprawy szczeniackie i nowotarskie. Z chwilą orzeczenia werdyktu zostaną one podane do wiadomości publicznej. Niektóre ze spraw dotyczą odwołań. Będą one starannie badane, gdyż w orzecznictwie partyjnym minionej kadencji mogły zdarzyć się fakty zbyt łagodnych lub zbyt surowych sankcji. Są również wnioski o rewizję decyzji o wydaleniu i skreśleniu z partii, prosby o wyrażenie zgody na ponowne przyjęcie w szeregi PZPR lub zaliczenie ciągłości stażu partyjnego.

Mieczysław Rokita zapowiedział, że w większym niż dotychczas stopniu komisja opierać się będzie na kontroli pozastatutowej. W wnioskiem tym wystąpił Aleksander Wrotniak z KW MO: — Tam, gdzie to będzie konieczne, powinniśmy bez wahania włączyć organa ścigania i wymiaru sprawiedliwości.

Kilku mówców zaakcentowało spoczywającą na członkach WKKP odpowiedzialność za wnikliwe badanie zarzutów, a następnie sprawiedliwy osąd.

— Nie możemy bagatelizować faktu — powiedział Mieczysław Wilczkiewicz — że będziemy poddawani rozmaitym naciskom i sugestiom, którym musimy się skutecznie przeciwstawić. Konieczna jest więc odwaga w kara-

niu osób wysoko postawionych i zdecydowanie w ocenie. Istotne są również nasze osobiste postawy. Jeżeli oceniamy innych — to sami musimy być w porządku.

Warto wspomnieć głos Tadeusza Zyglowicza, pracownika ZNTK: — Komisje kontroli partyjnej z reguły rozliczały i karały za nadużycia i postępowanie nie licujące z godnością członka partii. Ale to za mało. Myślę, że nadchodzi czas, by karać również za bezczynność, bałagan, niegospodarność i głupotę, które są bardziej szkodliwe niż jednostkowe przestępstwa; o wiele drożej kosztują państwo. Wystarczy przyjrzeć się nowosądeckiemu handlowi, który nie potrafi zorganizować podstawowych dostaw chleba i mleka. Niekiedy — i należy ich wskazać palcem — mają usta pełne odwiecznych hasel, a nadal sami tkwią po uszy w starym, skomplikowanym stylu myślenia i nieefektywnej pracy.

WKKP przyjęła projekt planu pracy na II półrocze, rozdziałając jednocześnie zadania w zakresie nadzoru nad kontrolą partyjną niższych szczebli. „Sąd partyjny” poprzedniej kadencji nie miał dobrej prasy. Oskarżano go o dowolną interpretację zasad statutowych i tłumienie oddolnej krytyki, przeciąganie spraw, niezauważanie wielu negatywnych zjawisk. Nieraz też głos komisji był lekceważony, a podstawnym sprawom nie zawsze nadawano bieg. Często przymykano oczy na nieprawidłowości popełniane przez osoby ze średniej lub wyższej kadry kierowniczej.

Obrady plenarne WKKP zakończyły się przyjęciem uchwały, w której stwierdzono między innymi: statut musi obowiązywać jednakoż wszystkich członków partii, tych na „górze” i tych na „dole”.

Niezwykle ważne dla socjalistycznej odnowy będzie włączenie się do działalności kontrolnej podstawowych organizacji partyjnych. Powinny one na nowo rozpatrzyć przypadki składania legitymacji PZPR, zwłaszcza przez robotników, którzy nie ponoszą winy za deformację systemu, a podjęli te decyzje pod wpływem rozgoryczenia.

Brawo „Romantyczni“!

Zwabiłony duchodzącym szpiedz bloku niezwyklej gwaram odwróciłem się od telewizora i wyskoczyłem na balkon. Najpierw zobaczyłem dziwnie ubranego starszego pana, któremu dwóch chłopców pomagało taszczyć kontrabas. Dalej w otoczeniu rozwrzeszczanej gromady dzieci szło jeszcze kilku starszych panów barwnie ubranych, z instrumentami muzycznymi.

Na trawie przed blokiem rozpoczął się niecodzienny koncert starych melodii przepłatanych skoczными przyspiewkami. Wszystkie okna i balkony zaroily się zdumionymi tym wesołym wydarzeniem mieszkańcami. To zespół muzyczny starszych panów — „Romantyczni”, w lipcowy wieczór zgłowił na „Barskim” tak miłą niespodziankę. Dzieciarnia miała nie lada frajdę, starsi — odkryli od lat od tego rodzaju podwórkowej kapeli — byli wyraźnie wzruszeni.

W tych trudnych, pełnych niepokoju dniach, na zatroskanych twarzach pojawił się uśmiech, zrobiło się jakoś raźniej i lżej.

Dość brawa dla „Romantycznych”!



Orawska Kapela

Fot. STANISŁAW SMIERCIAK

ZYGMUNT BLASZAK

* PANORAMA REGIONU *

Jan Grudnicki

BUDOWLANI NA MANOWCACH

Jesienią ubiegłego roku red. Jerzy Leśniak w artykule „Wielka martwa płyta” poddał ostrej krytyce fabrykę domów Nowosądeckiego Kombinatoru Budowlanego. Mimo riposty dyrektora kombinatu, przedstawionej na łamach „Dunajca”, nadal wiele jest zastrzeżeń pod adresem budowlanych, wznoszących nowe osiedla. Po kilku miesiącach powracamy więc do tematu.

W fabryce domów przy ulicy Zielonej dyrektor Kombinatoru d/s produkcji mgr inż. Tadeusz Doła zaprasza do rozmowy tych samych pracowników, którzy wcześniej rozmawiali z red. Leśniakiem, przedstawiając na wstępie swe argumenty: „Nasza fabryka domów ma niespełna trzy lata. Załoga jest młoda i niedoświadczona. Dopiero niedawno zakończył się rozruch zakładu, opanowanie technologii i dostosowanie załogi. Do tej pory mamy trudności z fachową obsadą niektórych stanowisk. Jesteśmy skłonni przyjąć do pracy każdego, kto posiada duże doświadczenie w stosowanej przez nas technologii. Mimo to nowosądecka fabryka zajmuje dobre miejsce wśród zakładów zjednoczenia”.

Rozpoczyna się dyskusja nad artykułem. Padają głosy: „Zarzut niedotrzymywania zasad technologicznych jest niepoprawny. Płyty zalewane są i naparzone zgodnie z instrukcją. Zbrojenie wykonywane jest według dokumentacji i odbierane w kasie przez kontrolę jakości. Elementy sprawdzają się podczas formowania, a dopiero po zbadaniu przez laboratorium wytrzymałości i po kolejnym sprawdzeniu gotowych płyt dopuszcza się je do wysyłki. Kontroler jakości w każdym stadium produkcji ma dostęp do płyty; każda, która opuszcza zakład na atest. Porozkazy rzeczywiście zdarzały się przypadki zawinionych przez pracowników naruszeń norm i zasad technologicznych, wpływające drastycznie na jakość płyt. Kar z tego powodu było dużo. Jednak w miarę, jak załoga nabiera doświadczenia, liczba takich przypadków maleje. Nie do pomyślenia byłoby nieprzestrzeganie norm wymiarowych. Z dokumentów wynika, że odstępstwa mieszczą się w dopuszczalnych granicach. Odchylenia wymiarów są naturalnym skutkiem procesu technologicznego”. Na zarzut bałaganu i niedowładu organizacyjnego dyrektor Doła odpowiada: „Może pan sam się przekonać...” Próbuje więc szukać niedociągnięć, ale wszędzie zastaje porządek i wykonane własnym staraniem uprządkowanie, mające ułatwić załadunek płyt.

„Tymczasem dyrektor kontynuuje: „Najprawdopodobniej nasza gru-

pa mechaniczna. Usterki usuwane są na bieżąco. Nie możemy natomiast liczyć na wymianę form w przypadku ich zużycia. ZREMB nie przyjmuje zleceń na wykonanie remontów kapitałowych form. To duży problem dla zakładu. Podniesiona w artykule sprawa konieczności odkuwania bruzd w płytach znalazła już rozwiązanie: zastosowano rury winidurkowe o większym przekroju”. Zagadnienie nieracjonalnych przewozów kruszywa analizujemy ze stosownymi dokumentami w ręku: „Zakład Eksploatacji Kruszywa nie dostarcza nam wymaganej ilości surowca ze zwirowni znajdujących się w okolicach Nowego Sącza. Zamówienie, które oglądamy, potwierdzono w 75%. Samochody ze zwirowni wracają puste. Fakt ten potwierdza też pismo „Transbudu”. Reszta kruszywa sprowadzamy samochodami z okolic Tarnowa, a nawet koleją, z Olkuskiego. Jeśli ZEK będzie istotnie dotrzymywał swych zapewnień o dostawie od tego kosztownego importu, zwłaszcza że Nowosądeckie złoż kruszywa ma pod dostatkiem”.

Montaż nowych form, o których mowa była w artykule nie miał na celu zastąpienia starych, zużytych — a więc nie mógł polepszyć jakości — ale spowodowany był potrzebą uruchomienia produkcji tych typów płyt, których w tamtym czasie brakowało na budowach.

Zarzut niskiej wytrzymałości jest w świetle wyjaśnień załogi nieprawdziwy. Oprócz makiet rozkopowej oceny płyty, sprawdzania jej wymiarów, prowadzi się systematyczne kontrole wytrzymałości masy betonowej i to dwiema niezależnymi metodami. Nie do omówienia jest, by płyty rozpyływały się w transporcie czy na budowie. Mogą się najwyżej wyszczerbić lub nadłuskać. Laboratorium atestuje wytrzymałość transportową, by płyta mogła dojechać na budowę oraz wytrzymałość konstrukcyjną, zapewniającą trwałość budynku. Prawo budowlane nie zezwala na stosowanie materiałów nieatutowanych”.

Efektowne zdjęcie złomowiska płyt nie odzwierciedla prawdy. To naturalne, że powstaje pewna ilość braków; beznoszone byłoby ukrywanie tego, zaś złomowisko, uwzględniając wiek zakładu, jest niewielkie. Złomowane płyty nie mogą być stosowane do celów budowlanych, używa się je do utwardzania placów składowych i dróg dojazdowych na placie budowy. Istnieje również możliwość odsprzedaży płyt innym przedsiębiorstwom, a nawet osobom prywatnym. Złomowisko jest eksploatowane, choć na złomowa-

ne płyty nie ma wielu chętnych, ze względu na wysoki koszt ich transportu i załadunku. Dlatego złomowane płyty znajdują zastosowanie jedynie w najbliższej okolicy. Rozbijanie płyt, by wydobyc stół i kruszywo, nie opłaca się, jest bardzo pracochłonne.

Zwiedzając laboratorium pytam jego kierowniczkę czy kruszywo używane do produkcji jest odpowiedniej jakości? Pochodzi przecież z różnych źródeł i nie jest jednorodne. „Laboratorium sprawdza każdą partię kruszywa: stół i cement atestowane są przez producentów. Kruszywo bywa gorsze lub lepsze, ale spełnia wymagane warunki. Natomiast nam brakuje niektórych elementów wyposażenia, oczekujemy na nie miesiącami. Nie wpływa to, co prawda, na wyniki naszej pracy, ale bardzo ją utrudnia”.

Bolączką kierownictwa zakładu jest zły węgiel. „Nasza technologiczna kotłownia wymaga innego rodzaju paliwa. Niedowładny węgiel powoduje spadek wydajności kotła o połowę. Mała wydajność kotłowni odbija się z kolei ujemnie na jakości i ilości produkcji. Brak jest też materiałów pomocniczych: gwoździ, gazów i elektrod. Są to bardzo poważne problemy i trudno je rozwiązać we własnym zakresie”.

Choć nowosądecka fabryka domów jest zakładem młodym, borykającym się z wieloma trudnościami, wiele tu ulec może jeszcze poprawie. Nie zmienić to jednak faktu, że wady wielkiej płyty, wynikające z zastosowanej technologii, pozostaną nawet wtedy, gdy załoga najlepiej będzie wypielniała swe obowiązki. Technologie wielkiej płyty moi rozmówcy oceniają zgodnie: „Jest nie do przyjęcia. Najbardziej materiałowo i energochłonna, bardzo kosztowna. Elementy są ciężkie, mało funkcjonalne, ich transport drogi. Pomimo znacznych nakładów, które w rezultacie obciążają mieszkańców, jako że budynków pozostawia wiele do życzenia. Wszyscy chcielibyśmy mieszkać w domach zbudowanych z materiałów tradycyjnych. Technologia OWT jest niedopracowana. Zdajemy sobie sprawę, że wielka płyta to rozwiązanie najgorsze z możliwych”.

Prawda jest więc oczywista: mieszkańcy nowych osiedli, zadowolając się kłopoty autorom pomysłu budowy domów z wielkich betonowych płyt. W realizacji tego pomysłu uwikłano znaczne środki i tysiące ludzi, brnących tym sposobem w ślepią uliczkę. Miejsy zatem wyrozumiałość dla budowlanych, których sprowadzono na manowce.



Kiedy nastąpi poprawa zaopatrzenia w pieczywo?

Pomimo zapewnień najwyższych czynników państwowych, że chleba w kraju nie zabraknie — w Nowym Sączu nabycie bochenka chleba, szczególnie w dni przedświąteczne i przed wolną sobotą staje się poważnym problemem. Ludzie muszą kilka godzin odstąć w kolejkę, a często biec do następnego punktu handlowego, gdy się okaże, że tam właśnie dostarczono pieczywo. Przyczyną tego stanu rzeczy jest niewystarczająca ilość piekarni w Nowym Sączu. Dlatego do stolicy województwa „importuje się” pieczywo z Muszyny, Kamienicy, Bobowej, a nawet z Krakowa, Wieliczki i Bochni.

Dramatyczna sytuacja miasta w sferze zaopatrzenia w pieczywo może być rozwiązana tylko przez budowę zakładu, produkującego 12 ton pieczywa na dobę. Piekarnia o mniejszej wydajności nie zaspokoi potrzeb. W tej sprawie mieszkańcy Nowego Sącza oczekują od władz miejskich energicznego działania. Sprawy tej nie można załatwić półśrodkami; nasuwa się jednak pytanie, czy zrobiono wszystko, aby przynajmniej w części poprawić sytuację? Chodzi tu o uruchomienie małych, prywatnych piekarni. Przy ulicy Nowojowskiej w budynku, gdzie znajduje się „Bar Krynicki” jest nieczynna — choć w dobrym stanie — piekarnia, której pomieszczenia zajmowane są na magazyn. O uruchomienie tej piekarni zabiega prywatny rzemieślnik — jak dotąd bez skutku. Czy w Nowym Sączu nie znajduje się przypadkiem więcej takich nieczynnych zakładów, które można by awaryjnie uruchomić dla zlagodzenia niedoboru pieczywa — do czasu budowy piekarni 12-tonowej? A może tym małym piekarniom można by zlecić wypiek tzw. galanterii piekarniczej?

EUGENIUSZ JABŁOŃSKI

„Kapela” z Szalowej

W Nowosądeckim działa 60 orkiestr dętych, wiele z nich legitymuje się ponad stuletnimi tradycjami, zaś najstarszym muzycznym zwojem są „Kapela” — orkiestra ze Szalowej w gminie Łużna. Pierwszy zapis jaki zachował się o orkiestrze z Szalowej pochodzi sprzed przeszło 200 lat. Małą orkiestrę założyli wówczas uczestnicy Konfederacji Barskiej — Dąbrowscy, Seroczyńscy, Nawroczy, Surzyńscy, Głowacy. Znałszy oni schronienie w dobrach bracięgo Zareby Skrzyńskiego, który okazał się hojnym mecenasem — ustanowił wieńczącą fundację dla muzyków.

Fundacja przetrwała do pierwszej wojny światowej. W Szalowej działała więc orkiestra i chor mieszany. Od 1910 roku kontynuowała pracę ich orkiestra Towarzystwa Muzycznego „Kapela”. Współcześnie grają w kapeli Wroźnowie, Wojsławowie, Węgrzynowie, Drozdowie. Batute kapelmistrzowską mocno dźierży w dłoni — od trzydziestu lat — Stefan Wojna.

Jako ciekawostkę można dodać, że „Kapela” z Szalowej zainteresowali się muzykologzy z Uniwersytetu Warszawskiego i Jagiellońskiego. Powstały dwie prace naukowe o muzycznych tradycjach niewielkiej wsi.

DISZA DONAS

■ PITK — Oddział „Beskid” w Nowym Sączu w związku ze swoim 75-leciem organizuje konkursy dla amatorów: na nowele, reportaże, wiersze lub piosenki związane z Ziemią Sądecką; na dzieła plastyczne — rzeźbę, grafikę, obraz, fotografię lub zestaw fotografii, ewentualnie film krótkometrażowy, wreszcie konkurs na nazwę domu — siedziby oddziału „Beskid” w Nowym Sączu. Szeregowych informacji udziela biuro Oddziału „Beskid”, Nowy Sącz, Rynek 9.

■ Pan Eugeniusz Jabłoński z Nowego Sącza uważa, że WPK zapomnieli o tym, iż z usług jego korzystają także ludzie starzy i niepełnosprawni. Tablice z numerami linii w autobusach są za małe nieczytelne dla osób o słabym wzroku. Na końcówkach przystankach, podczas przerwy między kursami wozy stoją puste, podczas gdy pasażerowie czekają po kilkanaście minut aż będą mogli wsiąść. Są wśród nich osoby, dla których wyekiwanie takie jest zbyt męczące — czy rzeczywiście nie mogą oczekiwać na odjazd wewnątrz wozu? Dalej: dlaczego w Ryuku nie ma wspólnego przystanku dla wszystkich, przebiegających tu linii, tylko trzeba biegać od jednego do drugiego przy ul. Kazimierza Wielkiego? Wśród ludzi w podeszłym wieku sprinterów raczej brak... Zasygnalizowane sprawy poddajmy pod rozważenie dyrekcji WPK.

■ Kilka ciepłych słów pod adresem naszej redakcji przesłał pan Zygmunst Ociepka z Zabrze, emerytowany górnik, przebywający na wczasach w Rabce. A przy okazji — garść swych obserwacji z uzdrowiska. Dziękujemy!

Galeria Brzozowskich

Na Antałowie w Zakopanem trwa organizacja galerii pary młażęńskiej artystów-plastyków — Barbary Gawdzik-Brzozowskiej i Tadeusza Brzozowskiego. Galeria będzie otwarta podczas najbliższej „Jesieni Tatrzańskiej” we wrześniu br. Tadeusz Brzozowski przygotowuje się również do indywidualnej wystawy, która odbędzie się w grudniu w Poznaniu. Warto dodać, że artysta był przez wiele lat wykładowcą tamtejszej wyższej uczelni plastycznej.

Piętnaście lat temu, kiedy to po raz pierwszy zorganizowano „Sabałowe bajania” — krążyła plotka, że impreza ta powstała na złość Zakopanemu. Nie wiem, ile w tym prawdy, ponieważ plotkę ową słyszałem, rzecz jasna w Zakopanem. Powiadano, iż Nowy Targ ma pretensje, że zakopiański festiwal „Tatrzańskie Jesień” nabiera rozmachu i międzynarodowego znaczenia podczas gdy stolica Podhala jest orzeczeń „Miasto” w nim więc wszelkie reprezentacyjne imprezy odbywać się powinny. Plotka, nie plotka — lecz faktem jest, że pierwsze „Sabałowe bajania” odbyły się we wrześniu, jakby rozmyślnie kolidując z terminem „Tatrzańskie Jesień”. Rzecz jasna, wybuchła cholerna kłótnia. Różni działacze obzuczali się przez telefon barwnymi zwrotami (byłem tego naocznym i nausznym świadkiem).

W ogóle antagonizm nowotarsko-zakopiański — temat szeroki, wielowarstwowy i jakże malowniczy — godzien jest osobnej monografii. Mało to znana, a jakże ważna karta w dziejach naszego regionu. „Miasto” przez długie stulecie było rzeczywistą metropolią

Antoni Kroh

„Sabałowe bajania”

Podhala, a choć położone niżej, spoglądało na wsie podtatrzańskie z góry. Aż tu ni z tego ni z owego jakaś zapadła, nędzna wiocha. Jakies tam Zakopane, w ciągu niedługiego stosunkowo czasu stało się „polskimi Atenami” obrosło w legendę i grajarcy, zachwyliło całą narodową śmietankę intelektualną. Zaś w Mieście po staremu hodowano świnię — również w domach, stojących przy rynku (widziałem to jeszcze przed kilkoma laty). Rzecz jasna, awans Zakopanego budził w Nowym Targu zdziwienie, pretensje i niesmak. I tak już pozostało. Mieszkańcy przed laty na Ustupie, widywałem, jak odśnieżano szosę Nowy Targ—Zakopane: plugi nowotarskie zgarniały śnieg tylko do granicy powiatu, zakopiańskie — do granicy miasta. Rzecz jasna, nie jednocześnie.

śnie; z gładkiej szosy wjeżdżało się nagle w śnieżną zaspę. Była to zabawa dość pocieszna, choć dla jadących samochodów raczej niebezpieczna. Albo inny przykład: osiem lat temu kierownik powiatowego wydziału kultury w Nowym Targu, pan S., przekonywał mnie całkiem serio, że Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem z racji swej nazwy winno zajmować się wyłącznie Tatrami, i to od strony przyrodniczej jedynie, zaś w Nowym Targu należy zorganizować Muzeum Podhalańskie, centralne dla wszelkich poczynających doznawczych na terenie polskiej góralizacji.

Lecz dajmy spokój uszczypliwościom, powróćmy do tematu: rywalizacja sądownicza może mieć, jak widać, duże znaczenie kulturowe. Przykładem

choćby „Sabałowe bajania” — impreza oryginalna, pożyteczna, mająca piękny i bogaty dorobek.

W ciągu owych piętnastu lat przeżyło się przez bukowińską scenę wiele wspaniałych postaci. Najpierw wypadła wspomniana już, która odeszła na zawsze: Andrzej Skupnia „Florka” ze Stołowego, sądeczan Mieczysława Cholewa i Piotra Krzykalskiego, Józefa Pitoraka z Bukowiny i wielu innych. Zostali po nich rękopisy, nie zawsze przechowywane z pieczytą i oraz nagrania, dokonywane przez pracowników przez panią Barbarę Królowską z Polskiego Radia w Krakowie. Aż się prosi, by obszerny wybór tych gawęd opublikować drukiem.

Impreza ta ma grono wiernych wykonawców, jak bukowanie Franciszek

Marek Łapczyński

(Nowy Targ)

Na turystycznym ślaku

Wybratęk się zawurca na turystyczny ślak. Plececek przyrętkowatek se pikny, na spodek wrucitek konserwe, ale nie turystynom, bo skąd ja dziś wziął, ba ino jednom, pod tytułem „lostrobok w sosie pikantnym”. Pote łowinonek sprzynike chleba, cok go wystol od cwortej rano u Kacika w mieście, no i na tym się skończyło. Myślałem jesse o landrynkach, jakby sie ta pić zafatola, ale ka ta! Cukiarki bedom dopiero po tegorocznej kampanii cukrowniczej, jak sie okoze, jakie bedom zbiory i cy zdąsom wydrukować kartki. Coby plececko pustawo nie wyglądoł, załadowatek łoworol turystyny, bo zima dobrze sie nam dała tego lata już we znaki. Namysłówek se, wiecie, pikny ślak. Ze Rdzowki na Stare Wirchy potem bez Maciejowom do Robki. Sto sie mi bars fajnie. Nawet jek sie uctesyl, bo pod somymi Staremi Wirchami pastie jesse łowiecki bac. Hej, moi ślicni, pikni, jak tys to sie ciek cieszy, jak widzi, kie sie bielom łowiecki poza smrecki i kie stysy pogowizdywanie juhasa. Popitek se słodkiej zynicie, ide dalej. Pod samymi Staremi Wirchami styssem jakisi strasny brzzynek. — Kiz diasi? — myślem se. — Co, w bioly dzień strasy? Pewnie jako potępiona dusa płące sie po Gorcack. Troche mie mrowie obesto, ale idym dalej, bo przecie turysta, bać sie nijak nie posuje. Uselek pare kroków i co widzimy: dwóch chłopów, wybierajom z dziury różne puski, złomy i burzom tym dziadostwem, jak sie łozego po całym lesie. Dogodatek sie, ze łoni startu-

jom w tegorocznej akcji odsmitcanto Gorców i seom załoić pirse miejsce. Smutno mi sie zrobiło, nie tymu, ze sprzącom, ba tymu, ze som jest tacy ludzkie, co to ciskajom. brudy na sicke strony swiata, nie myślęcy o tym, ze to przecie tak, jak kieby w kosiele na som środek wyrzucić wiadro śmieci. Strasny mie zoi hycil, alek sie znióg i ide dalej. Dróżka wiodzie bez pikny las jedłowy. E, moziecie wiedzieć, górom jedle takie, ze jaz trza głowe do góry zadzierać. A dotem krzaki corynk malin co to sie po naszymu nazywajom cyrnicie. Idem se, lekućko mi na sercu, a spoziorem se na te jedle. I wie stała sie strasna rzecz. Nie wilym nawet, cy wom o tym godoć, bo mie jesse dżi se złosci sarpie, jak se przybacym. Pośliznął sie na cymisi i jak sie nie wykopyrtnem w te cyrnicę! Pozbierolek sie wartko i myślem se: ne i to sie jesse moze zdarzyć taka rzecz, coby sie ołek pośliznon na gówinie. Ale coż to za uwerda narasta na samym środku chodnika. Cosi mnie jednak tkneno, to-beżrolek sie za sie. I tu wiecie, krew mnie załata, kieby to na gówinie, ale na prochowickim pasteczku Bok tak odcyol na pusce, co niedaleko lezala. Oho — myślem se — musialo to juz bars dawno być, kie sel tyndy ciek, co sie nazywoł turystom, bo my juz syćcia piknie zobocyl, ze som kajsi na świecie pastety prochowickie. Jednak ktosi to dobrze pomysloł, coby nos troche przymozżyć głodem. Wyndzie to ino na dobre, ale naszym halom i lasom. Telekim karteczkam, to sie nijak nie napsadzi. I



Piotr Nowak

PO ODWIEDZINACH POETY

Czesław Miłosz w Polsce. Nareszcie. Dokładnie po trzydziestu latach stanął na gruncie warszawskiego lotniska. Nie sam. Przybył z synami Antonim i Piotrem. Antoni widział już Polskę tuż przed sierpniem ubiegłego roku. Piotr — pierwszy raz. Nie było żony Czesława Miłosza — Janiny. Jest chora.

Poetę zaprosili Grażyna i Andrzej Miłoszowie z Warszawy, którzy dopiero teraz stają się znani jako tłumacze i autorzy wspólnych książek. Oni w wizyte włożyli całe serce, żeby doszła do skutku i odbyła się jak należy. Służyli kontaktami, informacją, wyjaśnieniem złych legend narzutowanych wśród literatów i nieocytanych polityków. Gdyby brakło działania tych dwojga ludzi, nie byłoby tak licznych wywiadów z literatem Nagrody Nobla, a wiadomości o nim byłyby prawie żadne. Nie by nie pomogli instytut literacki i biblioteki, w których Miłosz stał się modny od roku. Są wyjątki: Katolicki Uniwersytet Lubelski, Muzeum Literatury w Warszawie. Nie bano się nazwiska Czesława Miłosza w Bibliotece Narodowej w Warszawie, pewnie dlatego, że za okupacji w tej bibliotece był starszym woznym. Poza tym wszystko ocierało się o ciche wspominki i filozofię z chmurki papierosowego dymu w lokalu. Oczywiście o twórczości Miłosza wiedzieli badacze literatury, lecz jak zawsze „wiedzieli dla siebie”.

Były to więc odwiedziny w kregu rodziny, przyjaciół, ale natchmiast stawały się odwiedzinami dostępnymi w całym kraju, dzięki chętniej tym razem kamerze telewizyjnej. Widzieliśmy spotkanie z ministrem Tejmą, wydawcami, z młodzieżą i pracownikami UJ, doniosłe spotkanie w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie Miłosza przyjęto w poczet doktorów honorowych. Witła poetę rzesza robotnicza w Stoczni im. Lenina w Gdańsku.

Słuchał nas pilnie wszystkich. Przestał twierdzić, że jest poetą trudnym. Swoją wielką po-

pularność porównał do popularności Konopnickiej. To nie tak. Czas autentycznej popularności dla dzieła Miłosza dopiero się przybliża i będzie niezależny od wspominków i ekscytacji na dziś. Ważne są wydania trzech zbiorów wierszy w „Znak”, „PIW-ie” i „Czytelniku”. Ukazała się „Wydawnictwie Literackim” cudowna „Dolina Issy”. Nareszcie są to jaskółki krajowych wydań. Wiersze i prozę Miłosza trzeba mieć przed oczami, jak w oknie zieleni pól, żeby do reszty nie oślepnąć od cywilizacji kamienia i betonu.

Wiersze Miłosza nie takie „trudne” i zbędny dla nich kokon wity nadmierne z rozpraw literackich. Przecież lekturę Miłosza rozpoczynałem od zeszytu „Twórczości”, w którym natrafiałem na „Świało, poema naiwne”. Nie miałem wtedy w głowie tzw. wiedzy literackiej. Potem mówiono mi, że to wielki poeta-emigrant, że nie trzeba o nim mówić głośno. Przepsywałem te wiersze, czytałem bez zajęć seminaryjnych. Ten bardzo szary zeszyt „Twórczości” z 1945 roku, wyjęty ze stosu makulatury na strychu u krewnych, darzę sentymentem jak książki i druki bibliofilskie otrzymywane od Czesława Miłosza i jego brata Andrzeja. Może nawet bardziej. W tym poemacie odnajduję słowa ludzkiej nadziei i odwagi.

Widziałem poetę w Krakowie. Kiedy się pojawił, zbierały się natychmiast tłumy. Byłby bardzo widki, gdyby były znane dokładnie terminy spotkań. Miłosz nie cierpi zbiegłości, peszą go, jest rozmowny i bezpośredni w warunkach kameralnych. Chętnie mówi o literaturze polskiej, przyjaciółach, a o sobie jakby przy okazji. Słucha wnikliwie otoczenia. Wciążnie rozmyśla. No i jest dobroduszny.

Miłosz nie przejechał z pielgrzymką, a jeśli — to do grobu ojca na cmentarzu Rakowickim w Krakowie i matki, która spoczywa na cmentarzu w Sopocie.

Laureat Nobla potraktował polskich dziennikarzy wyjątkowo szczerze. Udzielał wywiadów odchodząc nawet od kartkowej kolacji w mieszkaniu brata Andrzeja. Przez niecały rok nasi dziennikarze rozmawiali z Miłoszem razy kilkadziesiąt. Dla Polskiego Radia udzielał poeta wywiadu w bramie budynku „Tygodnika Powszechnego”. Było to zdarzenie całkiem krakowskie — speszona dziennikarka, Miłosz nieco zdziwiony, a otoczenie dość rozbawione. Na antenie radiowej i telewizyjnej wywiad wypadł bardzo dobrze. W polskiej prasie w latach 1930—1951 wywiadów z Miłoszem naliczyłem jedynie kilka.

Poeta oglądał naszą rzeczywistość przez dwa tygodnie. Bez znużenia. To co widział, zaraz wyudatniał w wypowiedziach. Nasze trudne sprawy obchodziły go jak własne. Pod koniec wizyty był już jednym z nas.

„Nie był wylewny” — dlatego, że jest twórcą odpowiedzialnym za każdy mój przecinek. Nawet przypadkowe wypowiedzi układają w całość i przynależą do dzieła drukowanego. Dokumentacja tej wizyty jest wstąpieniem w kraj, delikatnym, ale pełnym autonomii osobistej poety. Już pierwsze słowa na lotnisku są adresowane do robotników polskich. Słowa nie zdawkowe. Witali poetę szczeniowcy, a na wsi podano mu mleko i chleb.

Wizycie Miłosza w kraju towarzyszył pospiech. Jeszcze bardziej spieszył się na zachodzie Europy. Wiemy, że Miłoszowi rozrasta się poezja, eseistyka, a w tłumaczeniu biblijnych ksiąg okazał się jedyny. Podjął się pracy, którą nagrodzą ci, co się narodziła, kiedy będą powtarzać poezję proroków Starego i Nowego Testamentu. Będzie to czwarta wielka nagroda, po Nagrodzie Nobla największa — wdzięczność i pamięć. Nieustannie z zadziwieniem odczytuję „Księgę psalmów”, „Księgę Hioba” i kilka innych, które ogłoszono w czasopiśmie krajowym. Wyczekuję „Księgi mądrości”, która jest już przełożona. Miłosz spieszył się do pracy, bowiem „żniwo wielkie, a robotników w mało”.

Wyglądaliśmy tego spotkania. Nie spodziewaliśmy się, że nastąpi ono tak szybko. Nareszcie było możliwe podanie sobie rąk. Być może Czesławowi Miłoszowi bliżej jest teraz do nas, a nam do niego. Zobaczymy się po długich latach i już nikomu nie ujął godności.

po latach

Flodorowicz i Franciszek Szokisz, Stanisław Kurzeja z Kamienicy, Stanisław Klimek z Zabrzeży i inni. Bywał tu Józef Broda z Koniakowa, zanim nie zaczął występować w telewizji z tak fatalnym skutkiem. Bywał Jan Gacek ze Słonego, Wanda Czubernat z Raby Wyżnej, zaś Józef Oleksy z Rabki przyjeżdżał tu ze swymi rzezbami i z aparatem fotograficznym, wykonując wleśsety cennyh zdjęć dokumentacyjnych.

Występowała tu cała plejada wspamiętnionych ludowych instrumentalistów. Z nieżyjących wspomnień wypada Działońka, Jana Kawuloka z Istebnej. Tu-taj słyszeliśmy pierwsze reaktywowane „złoboki” i podwójne fujarki. Długo by opowiadać.

Filarem „Sabałowych bają” jest

pan profesor Roman Reinfuss, który wciąż przewodniczy sądowi konkursowemu, doradca, wyjaśnia, tłumaczy cierpliwie. Nie jest mu łatwo: mało kto w takim stopniu, jak on, widzi łącznie kultury ludowej i wynaturzenia. Niepodobna przecenić walorów dydaktycznych wieloletniego trudu Profesora.

Nie opuściła żadnych „Sabałowych bają” pani Michalina Cwiżewiczowa, emerytowana nauczycielka z Bukowiny, współtwórczyni Domu Ludowego. Jakże poręczającą rzeczą jest słuchanie jej wspomnień: ileż to trzeba było namawiać i perswazji, różnych pedagogicznych zabiegów, aby bukowianie po raz pierwszy (było to w latach dwudziestych) pokazali na scenie swój ta-

niec i śpiew. Bali się, że zostaną wyśmiani, że to „brzydkie”. Takie były początki. Główna ulica Bukowiny nazywa się Tadeusza Kościuszki. Pozostając z całą czcią dla zwycięzcy spod Racławic, uważam jednak, że większe prawo do tej ulicy ma Franciszek Cwiżewicz. Jego imieniem powinna być nazwana.

Skroda starego pokolenia gawędziarzy. Nikt ich nie zastąpił. Ich styl był niepowtarzalny, nie da się go naśladować. Gawędy, mówione przez młodzież, przypominają szkolne recytacje, a nie ludowe bajdy. Niektórzy gawędziarze średniego pokolenia czasem nasładowali solistów Kierdziołka. Lecz można jeszcze posłuchać niekiedy tych ostatnich. Stanisław Klimek nie ma już siły stać przed mikrofonem. Siada ciężko i mówi: dowiecnie, obrazów, piękną gwarą. Starość, ciężka choroba i tragiczne przejścia osobiste przylgiły go ku ziemi. On jeden wie, ile trzeba było siły woli, by kolejny raz przyjechać do Bukowiny i bawić publiczność. Ale przyjechał. Słuchając go, pojmujemy, jaką wewnętrzną siłę daje oparcie w tradycji ludowej.

Zaprosili nas

„Miejski Ośrodek Kultury w Szczawnicy-Krościenku na „Lato pieniężne 81”:

● Związek Polskich Artystów Plastyków w Zakopanem, Biuro Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu Galeria w Zakopanem na otwarcie jubileuszowej wystawy malarstwa 60-lecia pracy artystycznej Franciszka Woźniaka:

● Związek Podhalań oddział w Poroninie na VII przegląd zespołów regionalnych pn. „Poroninskie lato 81”:

● Muzeum Tatrzańskie im. dr T. Chałubińskiego w Zakopanem na wystawę malarstwa na szkle Barbary Walczak-Bonieckiej oraz rzeźby Wojciecha Sitarza.

W domu mojego dzieciństwa na Wołyniu królowała literatura: książka pocztą z Warszawy dostarczała najnowsze gazety, czasopisma, książki. Na półkach naszej biblioteczki znajdowały się dzieła najznakomitszych pisarzy.

Najbardziej lubiałam współczesnych poetów. Otrzymywane tomiki gromadziłam na poczesnym miejscu i często do nich zaglądałam. A już szczególnie upodobałam sobie wiersze opiewające piękno przyrody i krajoznawstwo podhalańskie. Moimi wybranymi poetami stali się Kazimierz Przerwa-Tetmajer i Jan Kasprzowicz. Nie wiedziałam jeszcze, że ten ostatni odegra w moim życiu znaczącą rolę.

Wkrótce jednak wszystkie poczęcia musiałam odołożyć na długie lata — wybuchła Wielka Rewolucja Październikowa. Zmuszona opuścić dom rodzinny, wiele lat tułalam się za granicą. Gdy los pozwolił mi wreszcie uwieć kłosek na Podhalu — Jan Kasprzowicz już nie żył. Tylko

W 55 rocznicę śmierci Jana Kasprzowicza

WSPOMNIENIE

z lektury mogłam poznać jego życie, po ostatnie chwile zapisane w wierszach.

Potem nastąpiły mroczne lata hitlerowskiej okupacji. Wraz z całym narodem przeżywałam tragiczne losy.

Po wojnie od nowa budowałam swój dom. Wiersze daleko uciekały ode mnie.

I oto nagle, na kilka dni przed 1 sierpnia 1946 roku, przeczytałam w gazecie, że na Harendzie w Zakopanem odbędzie się uroczystość dla uczczenia dwudziestej rocznicy śmierci Jana Kasprzowicza...

Pamięć wypełniły obrazy dalekiego dzieciństwa, kiedy przesiadywa-

łam godzinami nad wierszami poety. Teraz, po tylu latach, Jan Kasprzowicz ożył we mnie, stał się już nie tylko poetą, lecz bliskim memu sercu człowiekiem, który spoczął niedaleko ode mnie, w podhalańskiej ziemi.

1 sierpnia, o świcie, wyruszyłam w pieszą wędrowkę. Autobusy jeszcze nie kursowały w owych, tuż po wojenych czasach, koleją zaś pokonałam niewielki kawałek drogi. Idąc ścieżkami, którymi chadzał Jan Kasprzowicz, myślałam że wzruszeniem, że zobaczę nie tylko dom, gdzie żył, pracował, ale i kobietę, z którą dzielił swe dni. Niewiele wiedziałam o osobistym życiu Jana

Kasprzowicza — tyle tylko, że był żonaty. I że ta żona sprawiła, iż jego dom nadal żyje.

Zbliżając się do Harendy, już z dala usłyszałam pogwar ludzkich głosów i dźwięki kapeli góralskiej. Wszedłam w tłum zebranych przyjaciół poety, otoczyła mnie atmosfera pogody i serdeczności — nie żałoby. Nawet nad grobem nie odczuwałam smutku: Jan Kasprzowicz wciąż żył w ludzkiej pamięci...

Kłós wprowadził mnie do mieszkania, podsunął krzesło. Nie prze-widziałam jeszcze, że moja pielgrzymka zakończy się przyjaźnią z Marią Kasprzowiczową, a przyjaźń ta zapisze jedną z najpiękniejszych kart mego życia. To właśnie wdowa pokierowała losem spoczynny po-pocze, utrzymała jego imię, przekazała Ojczyźnie legendę — wiecznie żywą.

Maria Kasprzowiczowa połączyła się z mężem w grudniu 1968 roku...

JANINA ZABOROWSKA

Co dają ze srebrnym skarbem przedwojennego FON?

W grudniu 1978 r. powrócili z Francji do Polski srebra przedwojennego Funduszu Obrony Narodowej, ocalone z wojennej zawieruchy. Skarb ten o wadze 2375 kg i 42 dkg powstał w latach 1936—1939 z darów całego społeczeństwa na do-brobroje Wojska Polskiego. Stanowi wielce wy-mowny dowód ofiarności i patriotyzmu narodu w obliczu narastającego zagrożenia Polski ze strony hitlerowskich Niemiec.

— Co obecnie dzieje się z tym skarbem? — z tym pytaniem zwrócił się do dyrektora Zarządu Muze-ów i Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki BOHDANA RYMASZEWSKIEGO dzien-nikarz PAP.

— Srebra FON — mówi dyrektor B. Rymaszewski — są obecnie pieczołowicie przechowywane, do-brze zabezpieczone i opracowywane naukowo w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Jest to wielka, nigdzie nie spotykana tego rodzaju kolekcja. Jej wartość dla nas tkwi nie tylko w samym kruszcu, co w związanym z nią ładunkiem emocjonalnym. Są to przecież dary całego narodu, poczynając od taci, pater, świętników, sztuców, poprzez papierosniki, zegarki, torebki balowe, biżuterię, przybory kos-metyczne — aż po odznaczenia, medale pamiątko-we, klejnoty, bractwa kurkowych i wielki zbiór monet z drugiej połowy XIX i pierwszego ćwierćwie-cza XX wieku — o wadze 1243 kg. Okazało się, że wstępne szacunki ilościowe przedmiotów srebr-nych, które należy opracować naukowo, są mocno zaniżone. W kontenerach, których zawartość okre-słono jako złom, znajduje się wiele tysięcy drob-nych przedmiotów użytkowych, głównie znaków patriotycznych, medalów i biżuterii. Przedmioty te mają niekiedy rzadkie cechowania złotnicze, mogą też wzbogacić naszą wiedzę o działalności warszła-

tów złotniczych, zwłaszcza na terenie Europy Środkowej i Wschodniej.

— Na czym polega naukowe opracowanie tej kolekcji?

— Jest to nie tylko inwentaryzacja. Identyfikuje się pochodzenie przedmiotów, ich wiek, ustala się stan zachowania i wagę. Dla każdego przedmiotu sporządzana jest karta naukowa z dokładnym opi-saniem i zdjęciem. Jest to więc praca żmudna, prowa-dzona komisyjnie i wymagająca dużej fachowości. W ciągu trzech lat udało się opracować mniej wię-ciej połowę srebrnego skarbu FON.

Srebra FON stanowią tylko część walorów ofia-rowanych przez społeczeństwo na dobrobroje na-szej armii przed wrześniem 1939 r. Na ten cel przekazano również wiele przedmiotów ze złota. Był więc także złoty skarb FON. Do niedawna wie-dzieliśmy, że dotarł on po tragicznych dniach Września do Francji, a następnie ewakuowany zo-stał do Wielkiej Brytanii. Dopiero ostatnio dzien-nikarz „Tygodnika Demokratycznego” red. Andrzej Bujnicki naprowadził nas na ślad tego skarbu. Okazało się, że powrócił on do kraju już w lipcu 1947 r. z Londynu. Fakt ten otoczony był jednak ścisłą tajemnicą.

— W jaki sposób przewidziano do kraju złoto FON i jakie były jego losy?

— Złoto przewiózł do Polski generał Stanisław Tatar w tajemnicy przed londyńską emigracją i angielskimi sojusznikami. Zrealizował w ten spo-sób ostatnią wolę generała Władysława Sikorskie-go, który życzył sobie, aby złoto FON, którym o-piekował się osobiście, po wojnie powróciło do kra-ju i zostało wykorzystane na jego odbudowę. Skarb

był ukryty w londyńskim hotelu „Rubens” — sie-dzibie sztabu Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbro-jnych; Anglików nie byli o tym poinformowani.

Gen. St. Tatar skorzystał z eksportacji z Londy-nu do kraju trumny ze zwłokami generała Lucja-na Żeligowskiego. Jako podstawę pod trumnę wy-korzystał skrzynie po amunicji zawierające złoto FON. Wraz z trumną skrzynie te przewiózł do kra-ju wojskowy samolot, przylatujący z Warszawy. Tu-taj złoto zostało zdeponowane w skarbcu Naro-dowego Banku Polskiego. Dopiero na początku 1956 r. postanowiono zlikwidować ten depozyt. Złote monety zasilili zasoby monetarnej banku, złom przetopiono na sztabki, przedmioty użytkowe prze-kazano do sprzedaży w sklepach „Jubilera” i „De-sy”. Jedynie kilkanaście bliżej nie sprecyzowanych przedmiotów o wartości artystycznej przekazano do muzeów. Dotąd udało się zidentyfikować w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie nie-kóre przedmioty pochodzące ze złotego skarbu FON, będziemy więc mogli w przyszłości — obok srebra FON — wystawiać symboliczne także złoto tego funduszu.

— Gdzie eksponowany będzie skarb FON?

— Niewątpliwie najodpowiedniejszym miejscem byłoby Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Tu można by pokazać skarb FON w całości, w po-łączeniu z zachowanymi do dziś dokumentami i egzemplarzami broni zakupionej z tego funduszu. Niestety, szczerze pomieszczenia Muzeum Wojska Polskiego nie pozwalają dziś na takie rozwiązanie. Skarb FON wystawiony ma być więc w sześciu muzeach. Symbolicznie — w jednej witrynie — eksponowany będzie w Zamku Królewskim w War-sawie. Większe części zbioru wystawione być ma-ją w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, w Muzeum w Arsenale w Zamościu, w Muzeum His-torii Miasta Gdańska, w Muzeum Narodowym w Poznaniu oraz w Muzeum Okręgowym w Bydgosz-czy. Wydaje się jednak, że zgodnie z życzeniami społeczeństwa skarb FON powinien być w przys-złości eksponowany w całości w Muzeum Wojska Polskiego. Mamy nadzieję, że trudności lokalowe tej placówki nie będą trwać wiecznie.

Rozmawiał WŁADYSŁAW DYMITROWSKI



Klub Czecha i Marusarzówny na krawędzi bankructwa

Gdzie tylko oko spocznie — na ścianach, gablotach — sportowe trofea, pamiątki. Najprzeróżniejsze: puchary, medale, dyplomy, etc. Także i takie, które leżą sobie już kilka dziesiątków lat. Na „honornych” miejscach — jakże by inaczej — portrety generała Mariusza Zaruskiego, Heleny Marusarzówny, Bronisława Czecha. Postacie to już niemal legendarne, a jakże blisko związane z zakopiańską Sekcją Narciarską Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Goszczę w niewielkim, skromnym lokalu tejże SN PTT. Wnętrze drewnianego domu przy ulicy Kasprzynie rzeźbił się stanowią jakby żywe muzeum historii polskich nart, niemniej nie chcą służyć wspomnień, a tu przynajmniej. SN PTT — najstarszy i najbardziej zasłużony zakopiański klub sportowy — znalazł się na najbardziej niebezpiecznym wyrostku swej historii. Innymi słowy: jestestwo klubu, jego dalsza działalność — stoi pod wielkim znakiem zapytania, a rzecz w coraz to uboższych funduszach. Owszem, jakiś czas uda się zapewne jeszcze wiązać koniec z końcem, wyżyłkować, ale — jeśli się nie na lepsze nie zmieni — przysiędka chyba niedługo ogłosić upadłość. Może w tym roku, może w przyszłym. Tak czy inaczej, coś by to była za ironia losu! Klub, mający w swej metryce rok 1907, znajduje się przecież w przededniu swych „brylantowych godów”. Tak, tak — SN PTT jest jednym z seniorów polskiego sportu, zaledwie o rok młodszym od firm najstarszych — „Cracovii” i „Wisły”. Czyżby — odpukać — historia zakopiańskiego klubu zamknąć się miała równo w trzech ćwierćwieczach?

Konkrety aktualnej sytuacji? Zsane ratunku? Przerwywam w tym miejscu ten właśnie zasadniczy wątek, by raz jeszcze powrócić do przeszłości. W tym przypadku refleksja historyczna jest za wszelki miar uzasadniona. Prze-

cież to właśnie bogata historia i znakomity dorobek dają podstawę, by wolać o ratunek dla SN PTT!

Tradycje najprędniejsze

posiada ten 74-letni klub, wywodzący się z rodowodu w prostej linii od sekcji narciarskiej, zawiązanej w łonie szacownego Towarzystwa Tatrzańskiego. Sekcja — jako pierwsza organizacja na ziemiach polskich — była krzewicielem narciarstwa. Naonczas, w pierwszych latach XX stulecia, rzecz jasna — wędrownie, turystyczne. Z czasem jednakże SN PTT zaczęła także upowszechniać narciarstwo sportowe; również w tej specjalności jej pierwszoplanowa rola nie podlega dyskusji.

O dorobku klubu w narciarstwie wyznaczonym pisać by można bez końca. Wspomnijmy zatem przynajmniej niektóre z najistotniejszych faktów. A zatem rok 1920, pierwsze mistrzostwa Polski i pierwszy historyczny tytuł dla SN PTT! Zdobył go Franciszek Bujak. Tenże Bujak, który wraz z Andrzejem I Krzeptowskim reprezentował Polskę na pierwszej Olimpiadzie Zimowej w 1924 roku. Nawiasem mówiąc, SN PTT szczyty się posiadaniem 24 olimpijczyków, w tym 22 w narciarstwie alpejskim i klasycznym oraz po jednym w tyżwiarstwie szybkim i saneczkarstwie. Natomiast indywidualnych tytułów mistrza Polski seniorów i seniorów uzbierało się aż 227, z czego 190 w konkurencjach narciarskich. Tyłoma mistrzami nie może się poszczycić żaden inny zakopiański klub.

Przytoczone liczby świadczą, że w SN PTT sportem nr 1 zawsze były i są narty. W tej też dyscyplinie klub dochował się swych najznakomitszych reprezentantów — Heleny Marusarzówny, Bronisława Czecha, skoczka Stanisława Marusarza czy Józefa Ry-

suli. Właściwie ten priorytet nart jest oczywisty, zgodny z tradycją klubu, nazwą. Podkreślam to jednak, gdyż SN PTT — niejako wbrew tej nazwie — nie prowadziła i nie prowadzi działalności jednosekcyjnej.

Na efektywny dorobek SN PTT pracowało kilka pokoleń znakomitych zawodników i zawodniczek. A także kilka pokoleń działaczy, organizatorów, poczynając od postaci już historycznych — Stanisława Barabasa czy Mariusza Zaruskiego. Dzięki temu właścicielom klubu smak sportowej przygody poznali setki dziewcząt i chłopców. Co prawda większość z nich sławy nie zdobyła, nie wszystkim przecięt to dane, ale czyż w sporcie idzie tylko o wyszyn najwyższy? Wspomnieć się też godzi, iż piękna kartę zapisałi członkowie SN PTT w ponurych latach okupacji. M. in. na kurierskich szlakach...

Nigdy się nie przelewało

Powracam do podstawowego nurtu tych rozważań — jak uratować przed bankructwem tak zasłużony klub? Nie chcę rozstrząsać, „co by było, gdyby...”, ale trzeba wspomnieć, że z początkiem lat 50-tych, w okresie reorganizacji sportu polskiego, SN PTT znalazła się pod opieką federacji „Kolejarz”, w groźbie możliwości mało zasobnej. Klepało się więc biedę całymi latami, niemniej udawało się wiązać koniec z końcem. Chociaż, przypomnę, bywało i tak, że przez pewien czas nie było z czego wypłacić pensji szkoleniowcom...

Budżet klubu? Weźmy — na przykład — rok 1979. Wpływy osiągnęły wówczas 3.300 tys. złotych, na co złożyły się dotacje federacji Kolejarz (1 mln), Wojewódzkiej Federacji Sportu (850 tys.), Urzędu m. Zakopanego (800

tys.) i WRZZ (100 tys.) oraz pomoc kolejnictwa (80 tys.) i dochody własne (camping i wyciąg narciarski — 450 tys.). Skromnie, bo skromnie, z olówkiem w rękę, ale jakoś wystarczało. A w tym roku? Właśnie, porównajmy. Koszta wzrosły; szacuje się, że na utrzymanie klubu potrzeba z górą 5 mln złotych. Tymczasem dotacja federacji 5-krotnie zmalała (do 200 tys.), WFS dała mniej więcej tyle samo (800 tys.), podobnie też powinny kształtować się dochody własne (ok. 500 tys.). Summa summarum — półtora miliona, jako że skończyło się wsparcie ze strony związków zawodowych, władz miejskich, kolejnictwa. Zmiliował się GKFFIS i jednorazowo wspomógł klub milionem złotych. To właśnie pozwoliło anulować podjętą już decyzję o zawieszeniu działalności. Ale na jak długo? Trzy, cztery miesiące?

Gdzie indziej lepiej...

Do biedy nikt nie tęskni, przeciwnie — szuka szczęścia gdzie indziej. Opuścił klub Krysiak, talent czystej wody, najlepszy lyżwiarz ostatniej Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży. Po mistrzowskiej sztafecie juniorów pozostały wspomnienia; chłopcy przeszli do klubów możniejszych. Jeśli chodzi o narciarstwo biegowe — SN PTT szkoli już tylko najmłodszych. Należą do nich trenujących maleje. Ostatnio, z ciężkim sercem, zrezygnowano ze szkolenia w dwóch zakopiańskich szkołach. Nie ma za co...

Na placu boju pozostał już tylko garstka działaczy. Tracą wiarę w przetrwanie, czują się pozostawieni samemu sobie. Niemniej walczą, licząc, że uda się uniknąć bankructwa.

Wiceprezes klubu, Ryszard Leśniak, mówi mi o zamierzonych aktywizacji działalności gospodarczej. Dotychczas trochę grosza przysparzał camping i wyciąg, teraz pod firmą klubu mają być wytwarzane metalowe tablice ogłoszeniowe. Dlaczego akurat tablice? Po prostu takie są możliwości. Nie ma to nie ze sportem wspólnego, ale gruntu, że trochę zasilą kasę.

Marian Siudut, działacz sekcji narciarskiej, zastanawia się nad ustawieniem — powiedziałbym — modelowym. Sądzi, iż ciężar szkolenia należy przesunąć z bardzo kosztownych szkół mistrzostwa sportowego na kluby, mające najlepszą kadrę szkoleniową. A skoro tak, to i część środków powinna zostać przesunięta, co umożliwiłoby klubom (czyżby?) przetrwanie. Zgadzam się z tą opinią.

Ta kameleonowa olszówka

Oficjalnie: *Paxillus involutus*, czyli krowiak podwinęty. Popularnie: olszówka, świnka, krowia warg, że wymienić tylko nazwy szerzej używane. Jeden z najpopularniejszych polskich grzybów, uważany za dość smaczny, ładnie pachnie. Jest chętnie zbierany, najczęściej marynowany lub solony. Jeśli coś może do niego zniechęcać, to ciemnienie na brązowo zgniecionego mięsiska, a szczególnie blaszek (co jest jego ważną cechą rozpoznawczą) — i w rezultacie dość brzydki wygląd po ugotowaniu.

Niestety — olszówka została stopniowo zdemaskowana jako jeden z naszych najniebezpieczniejszych grzybów. Statystyki wykazują, że właśnie ona jest odpowiedzialna za największą po muchomorze sromotnikowym ilość groźnych zatrąć. Objawy: wkrótce po zjedzeniu nudności i torsje, ból brzucha, biegunka, skurcze mięśni kończyn, osłabienie i bezwład, uczucie ogólnego rozbicia. W samej tylko Wielkopolsce w dwudziestopięcioletniach 1953–1977 zanotowano aż 546 przypadków zatrąć (w tym jedno śmiertelne), przy czym ilość ta z upływem lat się nasila. Tak wynika z publikacji S. Biełki i M. Klawitter w „Problemach higieny” z roku 1977.

Ale fakty nie są przyjmowane do wiadomości przez dziesiątki tysięcy zbieraczy, którzy przecież po wielokroć wypróbowali olszówkę, zbierając ją od lat i nigdy nie spotkali ich przykre sensacje. Ja też zbierałem. Do czasu, gdy znajomi (było to w okolicach Człuchowa na Pomorzu) mieli poważ-

ne dolegliwości po spalaszowaniu sporów ilości młodych — zaznaczam, młodych — grzybów tego gatunku. Od tej pory ostrzegaliśmy w naszym kręgu, że lepiej tego nie ruszać. Ale w kilka



lat później przybyły na prace sezonowe w lasach koło Odolanowa człowiek spod Krośna rozebrał się z naszych obaw i wyjaśnił, że on od dziecka i tak dalej — po czym upiekł sobie dwa grzybki na mocno rozgrzanej rusz smacznego i... skończyło się w szpitalu.

Nie chodziło tu o grzyby stare, prymitywne, które mogą zawierać dodatkowe substancje toksyczne, z czym się zawsze należy bezwzględnie liczyć. Pomijam wyjaśnienia, skąd się biorą te trujące składniki w starych grzybach — ale podkreślam: można sobie nimi zaszkodzić! Grzyby i tak są bardzo ciężkostrawne, niektóre osoby źle znoszą nawet najlepsze gatunki. W mojej rodzinie znana jest opowieść, jak to jeden z krowych, grzybiarz znakomity, sprawił sobie kiedyś ucztę

z wielkich prawdziwków, które nazbierał w jakimś ostępie. Zbyt dobrze się znał na rzeczy, by powątpiewać, że w prawdziwkowości owych prawdziwków. A jednak — była to jego ostatnia uczta...

Lecz olszówki, które spowodowały wspomniane przeze mnie zatrucia, były świeże i niestare. Trzeba więc założyć, że winien jest sam grzyb, niepojawienie zmienny skoro ci sami ludzie tak różnie reagują na olszówki z różnych miejsc. A więc: czy chodzi tu może o nierozpoznawalne podgatunki? O różne właściwości grzyba w zależności od drzewa, z którym symbiotycznie współżyje? (Tych drzew jest sporo, i wcale nie olcha — jak wskazywałaby nazwa — jest tym głównym; krowiak podwinęty występuje pod brzozy, sosnami i wieloma gatunkami innych drzew iglastych i liściastych, nie tylko w lasach, lecz także w parkach i sadach). Czy może chodzi o gatunek gleby? O różne właściwości w różnych lasach?

Zapytałem eksperta. Docent dr hab. Władysław Wojewoda z Instytutu Botaniki PAN w Krakowie ma już za sobą kilka starć o olszówkę i dość kategoryczną opinię o szkodliwości tego grzyba, nie wolno ryzykować! Dlaczego olszówka truje — nie wiadomo. Natomiast podejrzawać należy, że czynnik powodujący zatrucie — alergen — może występować w olszówce tylko w pewnych warunkach lokalnych, może się pojawiać tylko okresowo i może działać tylko na niektórych ludzi.

Dlatego te nieporozumienia z olszówką. W pierwszym powojennym polskim „Atlasie grzybów jadalnych i trujących” H. Orłosa uznana została ona za grzyb jadalny drugorzędnej wartości na 23 miejscu, przed kanią (!), kolczakiem pamaratczowym i płachetką

kolpakowata-turkiem, suszoną na P.d-halu w krajance razem z prawdziwkami. Dopiero później pojawiły się ostrzeżenia. „Przewodnik grzybowy” docent Marii Lisiejskiej i Mariana Smida z roku 1980 nazywa ją jednoznacznie grzybem silnie trującym, szczególnie na surowo. Album „Grzyby i las” Andrzeja Grzywacza, Wiesława Dudzińskiego i Tadeusza Szymanika oznajmia to samo: „po szczególnie groźnych badaniach okazało się, że olszówka jest grzybem trującym i nie należy jej zbierać. Niekiedy są szczególnie wrażliwi na związki toksyczne zawarte w olszówkach, inni w mniejszym stopniu”.

Niestety, w niepokojący sposób niebezpieczeństwo to jest lekceważone. Nie tak dawno w polskich czasopiśmie o wielkim autorytecie pojawiły się wzmianki na temat krowiaka podwinętego, które są dla mnie przejawem nieodpowiedzialności. Najpierw jesienią roku 1979 „Przegląd Techniczny” udostępnił tany czytelnikowi, który własną głową ręczy za nieszkodliwość tego grzyba, a nawet młodych tegoskórów, mogących zastępować trufle; potem zaś w numerze 4 „Polityki” z roku 1980 wypowiedział się dość kategorycznie Zygmunta Szeli, oburzony na czytelnika, który w sprawie propagowania olszówki poprosił o interwencję resort zdrowia. Departament Inspekcji Sanitarnej w odpowiedzi zacytował rozporządzenie ministra z 10 lipca 1959, które zabrania handlować tym grzybem. Powód oczywisty: liczne informacje o zatruciach.

Kochani grzybiarze — ostrożnie! Zapewne w tym roku, gdy tak trudno o inne artykuły spożywcze, jeszcze chętniej popadniecie do lasu, by urozmaicić menu obiadowe. Omiatając w swoich wyprawach olszówkę, choć tak łatwo ją spotkać w naszych lasach od lipca do października.

Licho nie spi.

ADAM GARBICZ

Co na to władza?

O sytuacji SN PTT rozmawiam także ze Stanisławem Słodczyką, naczelnikiem Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej.

— Może, naczelniku, nie czas mówić o tych sprawach? Skoro brakuje zapalek i dziesiątków innych artykułów codziennego użytku, sport siłą rzeczy schodzi na plan dalszy...

— Ale nie wolno — nawet teraz — również i tych problemów nie dostarczać! Nie wyobrażam sobie, by klub tak szacowny przestał istnieć. I w tym też kierunku powinny iść starania resortu kultury fizycznej oraz nasze, lokalnej władzy. Konkretnie — będziemy próbowali tak interpretować Uchwałę Rady Ministrów o rozwoju miasta i gminy, by z tzw. Tatrzańskiego Funduszu Rozwoju zapewnić stałą kwotę na działalność SN PTT. Nawiasem mówiąc, w taki właśnie sposób podtrzymać chcemy także kilka innych zasłużonych i pożytecznych organizacji, m. in. kulturalnych. Z innych środków — mimo najszerszych chęci — nie wolno nam dotować działalności. Rozwiązanie, o którym mówię, jest zresztą logiczne. Gdzie indziej sport jest przecież na garnuszku przemysłu. U nas niejako przemysłem jest szeroko pojmowana turystyka, a zatem niechże ona coś na sportłoży! Właśnie poprzez Tatrzański Fundusz Rozwoju, powstający dzięki obecności wczasowiczów i turystów w regionie. A jeśli któryś z zakopiańskich zakładów pracy czy instytucji zechce klubowi pomóc na własną rękę — tylko przyklasnąć!

Tyle naczelnik Słodczyka. No cóż, myśl przednia, Tatrzański Fundusz Rozwoju faktycznie powinien wspomóc społeczną działalność. Rzecz jednak w tym, kiedy się uda pokonać bariery formalne i zamiar urzeczywistnić. Oby nie za późno!

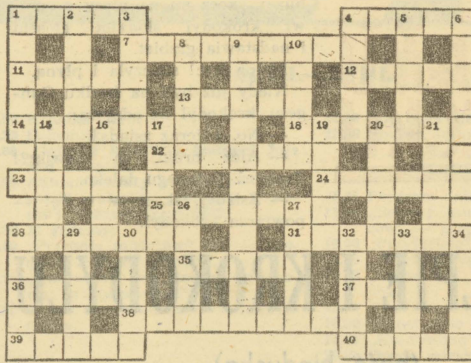
Sytuacja klubu, jak wspominałem, jest alarmująca. Może zatem pomyśleć — niezależnie od szansy przedstawionej przez naczelnika — o innych formach? Działalność gospodarczą, owszem, jak najbardziej. Ale przecież nie jakiekolwiek tam — pożałujcie Boga — tablicę, lecz np. prowadzenie dochodowej „szkoły narciarskiej” czy dalszych wyjazdów. Ale czy władze miejskie widzą takie możliwości? Czy zechcą i potrafią pomóc?

„LESNA GROMADA” I „SŁONECZKA”

Trzeba było widzieć nosy spuszczone na kwintę kłedy harcmistrz Elżbieta Zielińska i podharcmistrz Anna Machowska ogłosili zakończenie I turnusu Nieobozowej Akcji Letniej. Nawet pożegnane ognisko i uroczysty program artystyczny dla zaproszonych gości przesiąknięty był jakąś nostalgią i żalem. Wszak to już więcej niż połowa wakacji za nami.

Patronat nad NAL-em objęła tradycyjnie Nowosądecka Spółdzielnia Mieszkaniowa. W tym roku w zastępach nalowskich znaleźli się nie tylko zuchy i harcerze, ale również ci, którzy pozostali latem w miejscu zamieszkania.

Krzyżówka nr 31



POZIOMO: 1) sikorka zysująca niezwykle gniazda, 4) między Ferganą a Pamirem, 7) postuluje likwidację wszelkiej władzy, 11) lichy kalambur lub wyraz z żargonu kryminalistów, 12) przywódca argentyński, 13) prasowane fałdki, 14) lekarz postępujący zgodnie

z zasadami współczesnej medycyny, 18) cegły z trawy, 22) obrońca, 23) niezszerze ominięcie prawdy, 24) oścista ryba jeziorna, 25) jej pożar przeżyła Scarlett O'Hara, 28) rzęź, 31) czapka z kłapami, 35) pleciona waska tasienka, 36) trzy minuty w ringu,

37) czeka na zdrajców narodu, 38) praca od niechęci, 39) plenum obywatelskie w Grecji antycznej, 40) marka samochodów.

PIONOWO: 1) wyspa bałtycka, 2) mało go daje krowa, co dużo ryczy, 3) zimowa pułapka samochodowa, 4) jednostka natężenia prądu, 5) miasto w środkowych Apenninach, 6) protagonistka filmów o ludziach z marmuru i żelaza, 8) założyciel pierwszej dynastii węgierskiej, 9) wrózenie z dionii, 10) bogini staroegipska, 15) miasto słynne z elektrycznej butelki, 16) miasto Fabrycego Del Dongo, 17) zakąska dziś raczej historyczna, 19) zbiór map, 20) wnęka do złożenia ciała w katakumbach, 21) jeden z nietoperzy, 26) solidna moneta, 27) grają wszystkie instrumenty wogierście, 28) konieczna do hodowli jedwabników, 29) czołowa japońska wytwórnia radioelektryczna, 30) fiasko, 32) do późniejszego wykorzystania, 33) czczony słup indiański, 34) ozdobny pas na talcise.

HASŁEM POMOCNICZYM jest przysłowie

rzymskie (pierwsza liczba oznacza numer wyrazu w krzyżówce, liczba po kresce — kolejną literę w tym wyrazie): 9-10, 36-2, 34-2, 8-2, 3-1, 35-4, 5-4, 2-4, 38-2, 40-1, 11-4, 34-4, 10-2, 29-4, 6-1, 35-2, 28-1, 31-1, 20-4, 21-2, 2-1.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do 6 sierpnia.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 28

POZIOMO: 1) Instrumentacja, 9) miętus, 10) pobory, 11) samba, 12) dingo, 15) lampas, 19) sfera, 20) osot, 22) pleśń, 23) siłos, 24) cyrk, 25) stroj, 28) skarpa, 32) Araks, 34) Kercz, 36) elegia, 37) welwet, 38) kolektywizacja.

PIONOWO: 2) sztag, 3) Ross, 4) marmur, 5) Nepal, 6) album, 7) jarka, 8) Żmudź, 13) nostalgia, 14) ostrosłup, 16) adaptacja, 17) papiera, 18) słońce, 21) kosmos, 26) Tarnów, 27) psota, 29) Kolno, 30) reple, 31) akant, 33) rylec, 35) zwóz.

Nagrody wylosowali: pani Józefa Samoder z Nowego Sącza i pan Michał Bazielich ze Stargo Sącza.

Najstarsze narzędzia kamienne

W północno-wschodnim okręgu Etiopii — Afarze, odkopano najstarsze narzędzia kamienne, które pełniły funkcje noży i tasaków. Badania nad wielkimi narzędziami były bardzo trudne i trwały cztery lata. Ostatecznie oszacowano, że przedmioty liczą sobie 2,9—2,7 mln lat.

Okręg Afar zamieszkiwany był przez człowieka pierwotnego, (Australopithecus Afarensis), który zawędrował do Afryki Wschodniej ok. 3—4 miliony lat temu. Wielu badaczy sądzi, że należy

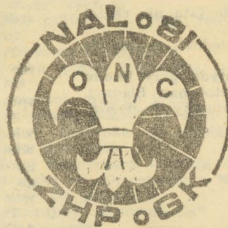
on do drzewa rodowego człowieka, ale była to istota o tak niedoskonałe rozwiniętych mózgu, że nie mogła wytwarzać narzędzi. Dopiero 2 miliony lat temu mózg ludzki rozwinął się na tyle, że można mówić o świadomym posługiwaniu się narzędziami. Odkrycie w Afarze jest więc bardzo intrygujące.

Wino z serwatki

Naukowcy amerykańscy i polscy opracowali metodę otrzymywania białego, wytrawnego wina z serwatki — produktu odpadowego powstającego podczas wyrobu serów. Pierwszym etapem przerobki serwatki jest jej spro-

szkowanie. Proces wyrobu wina przebiega dalej następująco: sproszkowaną serwatkę rozprawdza się w wodzie, uzyskując mieszaninę zawierającą 13 proc. białka, 71 proc. zdolnej do fermentacji laktozy — cukru mlekowego, i inne składniki. Białko usuwane jest techniką ultrafiltracji, dając produkt spożywczy o wysokiej zawartości proteiny. Sole mineralne wydzielane są w procesie elektrodializy.

Do reszty serwatki dodaje się specjalny gatunek drożdży, dzięki któremu laktoza fermentuje. Proces ten trwa około 7 dni. Po usunięciu komórek drożdży, do klarownej cieczy należy dodać nieco kwasu cytrynowego i wówczas rozpoczyna się proces wytwarzania wina. Produkt końcowy ma piękną, przezroczystą barwę i subtelny aromat. Można go poddać dalszym przerobkom, nawet destylacji mającej na celu otrzymanie brandy.



NAL w Nowym Sączu posiadała dwie bazy: „Leśna Gromada” na osiedlu Barskie oraz „Słoneczka” — na Millenium. Turnus przebiegał pod znakiem realizacji zadań, któ-

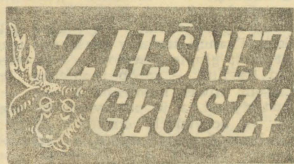
rych treść publikowała „Gazeta Krakowska” i „Dunajec”. Wymienie nazwy kilku z nich: WIANKI (trudnice ludowe i historyczne), IESNA WYPRAWA (a więc terenoznawstwo), HARCERSKA PIOSENKA czy NALOWSKA APTECZKA.

OPERACJA „CHILE”

Zbliżają się zima. W niektórych miejscowościach wszyscy już pracują w polach. Nadchodzące dni to szczególny okres dla zniwiarzy — liczy się wtedy każda sprawna ręka do pracy. W pracach tych nie powinno zabraknąć Waszego zastępu. Chodzi o to, abyście w miarę swych sił i możliwości włączyli się do po-

mocy w polu przy boku swoich rodziców lub osób starszych, wymagających pomocy. Wasza pomoc może polegać na prostych pracach, np. donoszeniu posilków dla zniwiarzy itp. Proponujemy także zorganizowanie stałych dyżurów zastępu, których celem będzie szybkie reagowanie na potrzeby pracujących w polu. Pamiętajcie także o najmłodszym rodzeństwie, dla którego zapewnienie opieki, zorganizowanie gier i zabaw będzie istotnym ułatwieniem dla rodziców zajętych przy zniwiarach. O inicjatywach i wynikach Waszej działalności napiszcie do nas w meldunku.

ZADANIE MIĘDZYZBIÓRKOWE: Należy wyszukać atrakcyjne miejsce na biwak zastępu.



TROCHE O PSACH

Mieliśmy kiedyś w kole kole, którego pasją były psy. Tak ułożonych psów na dziki nie posiadał poza nim nikt w całym województwie. Trzy zwykłe kundły dokonywały wprost cudów na polowaniu na grubego zwierzca. Szczególnie wyróżniało się jedno, zgolało psa niepodobne zwierzę, którego

poza dzikiem nie interesowało w lesie nie. Kundel ów zwał się Puszek, a jego obecność na polowaniu gwarantowała, że będzie ono udane. Miał jeszcze tę dobrą cechę, że siedzi w nagonce z każdym i nie trzymał się kurczowo nogi swego pana, co w pewnym sensie dyskwalifikuje dobrego nawet psa.

Pewnego razu nagonka przeczesywała teren, gdzie trzymały się dzi-

tych ostatnich zaczęły wymykać się z ostoi.

Kotłownia w środku bagniska jednak nie ustawała i na przemian słyszeć było to wrzask psów, to dzików. Trzeba wiedzieć, że stary, cwany dzik na linie myśliwych wychodzi tylko przypadkowo, a przezwadnie przedziera się przez nagonkę do tyłu.

Mniej więcej po kwadransie zauważyłem, że w kierunku mojego stanowiska wywlokł się z szuwara Puszek. Już z daleka widać było, że jest w stanie godnym pozawołania. Przywołałem go do siebie... i ciarki mi przeszły po plecach. Pies miał od łopatk do ogona rozoraną skórę, nie licząc drobniejszych ran. Sięgnąłem koszulę i zawiązałem w nią, żeby zatamować krwawienie, a następnie położyłem koło nogę.

W czasie operacji tej wrzawa w krzakach trochę przycichła, ale po chwili pozostałe psy znów przystąpiły do ataku. Dzięki wrzescie ru-

szły, na odgłos bliskich wrzasków Puszek zerwał się na równe nogi i nim zdążyłem go zatrzymać, pognął do współtowarzyszy odziany w moją koszulę.

Po zakończeniu pedzenia wszystkie psy, oprócz Puszka, wróciły. Opowiedziałem kolegom o całym zajściu, po czym udaliśmy się na pobojeństwo, żeby psiaka odszukać. Znaleźliśmy go przy niedużym warchlaku, który oberwał kulę i zakończył żywot. Puszek leżał obok, wcepił zębami w ucho zwierzaka, ale w takim stanie, że jego właściciel rozplakał się jak dziecko. Pies jednak żył. Po zszyciu skóry (pełniłem zawsze w naszym kole funkcję „weterynaryjnego krawca”), Puszek dostał zastrzyk i do wieczora wydobrzył o tyle, że obszedzał z samochodu odstrzelonego dzika. Nie muszę dodawać, że Puszek mógł koszulę zgubić, a ja z polowania wróciłem do domu bez bielizny...

STANISŁAW SIMINSKI

Dawno, dawno temu, kiedy w królestwie Benares panował wielki Brahmadatta, żyła sobie u podnóża Himalajów, nad rzeką Ganges, małpa. Była silna, wielka i zwinna. W tym samym czasie mieszkał w wodach Gangesu krokodyl z krokodylią.

Pewnego razu żona krokodyla zobaczyła, jak małpa pije wodę z rzeki.

— O mój mężu, ta małpa mi się podoba, chciałabym pożreć jej serce.

— Ależ droga — rzecze krokodyl — my żyjemy w wodzie, a małpa na lądzie. W jakim więc sposób mógłbym ją schwytać?

— Schwytaj ją, jak sobie chcesz — krokodylica na to. — Jedno tylko wiedz, że jak nie dasz mi na pożarcie jej serca, żyć nie będę.

— Dobrze, już dobrze — uspokaja przerażony krokodyl małżonkę — tylko się nie martw, nie bój. Mam plan. Zobaczysz, że niedługo będziesz jadła serce tej małpy.

Tymczasem małpa zaspokoila pragnienie i rozłożyła się na brzegu Gangesu. Krokodyl podплыł blisko i mówi:

— O książeczko małp, dlaczego ciągle przebywasz tu, na tym brzegu rzeki, i jadasz gorzkie i cierpkie owoce, kiedy naprzeciwko, na drugim brzegu Gange-



O MAŁPIE I KROKODYLU

(baśń hinduska)

su, znalazłabyś niezliczone nadośstwo słodkich fig, bananów, owoców drzewa mango, drzewa chlebowego i tyle, tyle innych smacznych rzeczy? Czemu nigdy tam nie chodzisz? Czyżbyś nie chciała pokoszować tak wspaniałych potraw?

— O krolu krokodyli — rzecze małpa — Ganges jest wielki, głęboki i szeroki. Jakże się mam na drugi brzeg przeprawić?

— Ach, to drobnostka. Jeslibyś tylko chciała się tam dostać, wziąłbym cię chętnie na plecy i przeniosł przez wodę.

— Naprawdę? Byłbyś tak dobry dla mnie? — pyta małpa.

— Ależ to głupstwo, zapewniam cię, droga przyjacielko. No, chodź bliżej, skocz mi na plecy — mówi krokodyl słodkim głosem i nadstawia grzbiet.

Małpa hyc! skoczyła i płyna. Kiedy już byli na środku Gangesu, krokodyl się odzywał:

— No, a teraz zsiadaj.

— Ależ drogi, co mówisz?! Przecież do brzegu daleko.

— Zsiadaj, skacz w wodę! — powtarza krokodyl.

— Przyjacielu, co to ma znaczyć, czyżbyś chciał mnie utopić? — pyta małpa.

— Cóż robić, droga. Moja żona zapragnęła twego serca, muszę więc dać jej ciebie na pożarcie, w przeciwnym razie grozi mi, że umrze — odparł krokodyl.

— Dobrze żeś mi o tym powiedział, najmilszy — małpa na to. — Bo muszę ci wyznać, że my małpy, skacząc wciąż z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo, z konara na konar, już dawno byśmy serce zgubiły, gdybyśmy je w

piersiach, jak inne zwierzęta nosiły.

Jak to, gdzie więc swoje serce macie? — dziwi się krokodyl. Małpa pokazuje wysoką palmę obsypaną kokosowymi orzechami i powiada:

— Spójrz, tam na drzewie wiszą nasze serca.

— Że też o tym nie wiedziałem! To wobec tego cóż pocznę, skąd wezmę serce twoje dla mej lubej małżonki — biada krokodyl zmartwiony.

— Nie trąp się, mój najlepszy krokodyli krolu — rzecze małpa. — Płyn tylko ze mną do brzegu, a ja już migiem ci je przyniosę.

Kiedy krokodyl do brzegu z małpą dopłynął — skoczyła na palmę i śmieje się do rozpuku.

— O mój niemadry, pocziwy krokodyli! Tos ty naprawdę uwierzył, że zawiesiłam swe serce na drzewie? Nie wiedziałam, że taki z ciebie głupek. No, a teraz strzeż pilnie swoich słodkich owoców, bananów, fig i orzechów, którymiś chciała mnie uraczyć. A twojej lubej małżonki powiedz ode mnie, jak bardzo żałuję, że moim sercem nie mogła się pościć. Cha, cha, cha, głupeców nie sieją, sami się rodzą!

I małpa, wciąż śmiejąc się serdecznie, wspięła się aż na szczyt palmi. A krokodyl smutny popłynął do domu.

Tata nie chciał mi kupić roweru. Mówił że dzieci są bardzo nieostrożne, że robią sobie szkody na rowerach, że je łamią, a same rozbijają sobie nosy. Powiedziałem tacie, że ja byłbym ostrożny, a potem płakałem i dąsałem się, a potem powiedziałem, że pójdę sobie z domu, i w końcu tata powiedział że będzie miał rower, jeśli będę w pierwszej dziesiątce z arytmetyki.

Dlatego byłem wczoraj taki zadowolony, wracając ze szkoły, bo byłem dziesiąty z arytmetycznej klasówki. Kiedy powiedziałem o tym tacie, wytrzeszczył oczy i powiedział: Coś takiego, no coś takiego! a mama mnie pocłowała, powiedziała, że tata kupi mi zaraz piękny rower i że to pięknie, że tak dobrze zrobiłem zadanie z arytmetyki. Trzeba powiedzieć, że miałem szczęście: tylko jedenastu chłopaków pisało zadanie, bo inni mieli grypę, a jedenasty to był Kleofas, który jest zawsze ostatni, ale jemu wszystko jedno bo i tak ma rower.

Kiedy dziś przyszedłem do domu, zabaczyłem tatę i mamę: czekali na mnie w ogrodzie i usmiechali się od ucha do ucha.

— Mamu niespodziankę dla naszego dużego syna! — powiedziała mama i oczy jej się śmiały.

Tata poszedł do garażu i wyprowadził z niego — nie zgadniecie co — rower! Rower czerwony i srebrny, błyszczący, z reflektorem i dzwonkiem. Pycha! Zacząłem biegać w kółko, a potem pocałowałem mamę, pocałowałem tatę i pocałowałem rower.

— Musisz przyrzec, że będziesz ostrożny — powiedział tata — i że nie będziesz robił szkodliw.

Przyrzekłem więc mama mnie pocałowała, powiedziała, że jestem jej duży chłopczyk, że zrobię czekoladowy deser, i poszła do domu. Moja mama i mój tata są najjaśniejsi na świecie!

Tata został ze mną w ogrodzie.

— Czy wiesz — powiedział — że byłem kiedyś mistrzem kolarskim i że gdybym nie poznał twojej mamy, może poszedłbym na zawodowca?

Tego nie wiedziałem. Wiedziałem, że tata był mistrzem w futbolu, i rugby, w pływaniu i w hokeju, ale w jeździe na rowerze — to było coś nowego.

— Pokażę ci — powiedział tata, wsłupił na mój rower i zaczął jeździć naokoło ogrodu. Naturalnie rower był za mały dla taty i tata nie wiedział, co robić z nogami, bo kolana niały pod brodą, ale jakoś dawał sobie radę.

To jest najkomiczniejsze widowisko, jakie oglądałem od czasu, kiedy ci ostatnio widziałem. Tak powiedział pan Bledurt, który wyjrzał spod naszego ogrodzenia. Pan Bledurt to nasz sąsiad, który bardzo lubi przekomarzać się z tatą.

— Cicho bądź! — odpowiedział tata. — Nik się nie znasz na rowerach!

Co takiego? — krzyknął pan Bledurt. — Wiedz, niedźny ignorancie, że byłem międzyokreślowym mistrzem-amatorem i że poszedłbym na zawodowca, gdybym nie poznał mojej żony!

Tata zaczął się śmiać. — Ty mistrzen? — powiedział — Można pęknąć ze śmiechu! Ledwie się umiesz utrzymać na trzykolorowym rowerku!

To się nie podobalo panu Bledurt. — Zaraz zobaczysz — powiedział i przeskoczył przez siatkę. — Daj ten rower!

Położył rękę na kierownicy, ale tata nie chciał oddać mu roweru.

— Nikt cię tu nie zapraszał, Bledurt, wracaj do swojej nory.

— Boisz się, że ci narobię wstydu przy twoim niebezpiecznym dziecku? — zapytał pan Bledurt.

— Uspokój się, żal mi cię doprawdy — powie-

Sempe i Gościny

ROWER

dział tata, wyrwał kierownicę z rąk pana Bledurta i zaczął znowu jeździć naokoło ogrodu.

— Przekomiczne — powiedział pan Bledurt.

— Te słowa pełne zawiści nie dosięgają mnie — odpowiedział tata.

Ja biegałem za tatą i pytałem, czy mógłbym choć raz przejechać się na moim rowerze, ale tata nie słuchał tego, co mówię, bo pan Bledurt zaczął śmiać się z tatą i tata wjechał w bieganie.

— Czego się tak głupio śmiejesz? — zapytał tata.

— Czy mogę się teraz przejechać? — zapytałem.

— Śmieję się, bo mnie to bawi — powiedział pan Bledurt.

To jest przecież mój rower — wtrąciłem.

— Jesteś kompletny idiotą, mój biedny Bledurt — powiedział tata.

— Ach tak? — zapytał pan Bledurt.

— Tak — odpowiedział tata.

Zaczęli się popychać i rower wpadł na bęgi.

— Mój rower — krzyknąłem.

Kiedy przestali się wreszcie popychać, pan Bledurt powiedział: — Mam myśl, objeździemy na czas te domy naokoło i zobaczymy, który z nas jest lepszy!

Nie ma mowy — odpowiedział tata — zabraniam ci wsiadać na rower! Mikołaju! Zresztą z twoją tuszą na pewno byś go złamał! — Widzę, że tchorek — powiedział pan Bledurt.

— Tchorek? Ja? — krzyknął tata. — No, zaraz zobaczysz!

Tata wziął rower i wyszedł na ulicę. Pan Bledurt i ja poszliśmy za nim. Zaczynałem mieć już tego wszystkiego dosyć, jeszcze nawet ani razu nie usiadłem na siodełku.

Każdy — powiedział tata — okrzyk raz domy, zmierz się z cież stoperem i ten, kto wygra, zostanie mistrzem. Dla mnie to zresztą tylko formalność, wiem z góry, kto zwycięży!

— Jestem szczęśliwy, że uznajesz swoją nieszczęść — powiedział pan Bledurt.

— A co ja będę robił? — zapytałem.

Tata spojrział na mnie zdumiony, jakby zupełnie zapomniał, że istnieje.

— Ty? zapytał tata. — Ty? No więc ty będziesz sprawdzał czas. Pan Bledurt da ci swój zegarek.

Ale pan Bledurt nie chciał mi dać zegarka. Powiedział, że dzieci wszystko tułają, wtedy tata powiedział mu, że jest skipiradło, i dał mi swój zegarek, bardzo fajny, z dużą wskazówką, która biega bardzo szybko, ale ja i tak woląłbym swój rower.

Tata i pan Bledurt pociągnęli losy i pan Bledurt pojechał pierwszy. Ponieważ naprawdę jest dość gruby, prawie nie było widać pod nim roweru i ludzie na ulicy odwracali się za nim i pekali ze śmiechu. Jechał dość wolno, a potem skręcił i zniknął za rogiem. Kiedy ukazał się z drugiej strony, był bardzo czerwony, sapał i jechał zygzakami.

— No, ile? — zapytał kiedy dojechał do mnie.

— Dziewięć minut, a duża wskazówka stoi między piątką i szóstką.

Tata zaczął się śmiać.

No, stary — powiedział — z takim jak ty, wysięć dookoła Francji trwałaby sześć miesięcy.

— Zamiast robić głupie dowcipy — odpowiedział zdyszany pan Bledurt — spróbuj pojechać lepiej!

Tata wsłupił na rower i pojechał.

Pan Bledurt dyszał, a ja patrzyłem na zegarek i czekał na niego. Oczywiście chciałem, żeby tata wygrał, ale minęło dziewięć minut, a zaraz potem dziesięć.

— Wygrulem! Ja jestem mistrzem! — zawołał pan Bledurt.

Minęło piętnaście minut, a tata wciąż nie było widać.

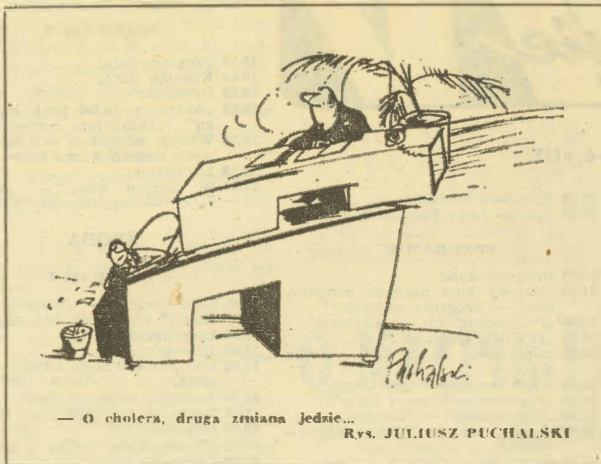
Ciekawe — powiedział pan Bledurt. — Trzeba by zobaczyć, co się stało.

No i wreszcie ukazał się tata. Szedł na piechotę. Spodnie miał podarte, przy nosie trzymał chustkę, a rower nioś w ręku. Kierownica roweru była wykręcona, koło złamane, lampka stłuczona.

— Wpadłem na kuby ze śmieciaki — powiedział tata.

Na drugi dzień opowiadałem o tym Kleofasowi. Powiedział, że z jego pierwszym rowerem było prawie tak samo.

Co chcesz — powiedział — wszyscy ojcowie są podobni, okropnie blaźnią, a jeśli się na nich nie uważa, łamią rowery i robią sobie krzywdę.



— O cholera, druga zmiana jedzie...

Rys. JULIUSZ PUCHALSKI

WIELCY MĘŻOWIE

Car Mikołaj do Puszkina, gdy ten mu pokazał swój kolejny wiersz:
— Wspaniale, kapitalnie!... Nie do publikacji.

Herbert von Karajan, sławny dyrygent, wspomina swoje najdziwniejsze przeżycie:

— Kiedy któregoś razu byłem w Stanach Zjednoczonych, zaproponowano mi, bym dla żartów poprowadził amatorską orkiestrę w małym miasteczku. Sala była niewielka, brakowało podium dla dyrygenta. Gdy skończyłem przygrywkę i właśnie miałem przejść do pierwszego numeru, nagle klepnął mnie w ramię jakiś bardzo zirytowany facet i zapytał, czy nie mógłbym usiąść. Odpowiedziałem szepcąc, że muszę stać, bo jeśli usiądę, to orkiestra nie będzie mnie widziała. Na to on: „Dobra, ale niech pan przynajmniej przestanie machać rękami”.

Robert Oppenheimer, sławny fizyk atomowy, uzyskał doktorat w wieku 23 lat. Jego praca doktorska była błyskotliwa. Po jej obronie pytano siedzącego w komisji fizyka Francka, jak wypadł Oppenheimer. Ten odparł: Całe szczęście, że udało mi się zakończyć egzamin, gdy on zaczął zadawać pytania.

Mark Twain redagując gazetę otrzymał pewnego dnia list, w którym było tylko jedno słowo: SWINIA. Następnego dnia Twain zamieścił w swojej gazecie notatkę wyrażającą dziwaczne zdziwienie: „Bardzo często dostaje listy nie zawierające podpisu autora, czyli anonimy. Wczoraj jednak otrzymałem list od jakiegoś czytelnika, prawdopodobnie rozstrzępionego, bo umieścił tylko swoje nazwisko: SWINIA, a zapominał napisać o co chodzi”.

Andrzej Grabowski

FISTASZKI

ZA WIELE

Niech już będzie kryzys.
Niech już będzie krach.
Ale po cholere... strach?

• SWIEŻE POWIETRZE

Panowie, dość kładzenia,
już czas przewietrzyć pomieszczenia.

PRZECZYTRZYLIŚMY

Radził nam wujek,
radził nam stryjek,
jak tu zamienić
siekiereczkę na kijek.
Nie posłuchaliśmy
— mądrzy żadnej rady,
zostaliśmy z siekiereczką,
lecz zesłaliśmy na dziedzi.

PROBLEM WŁADZY

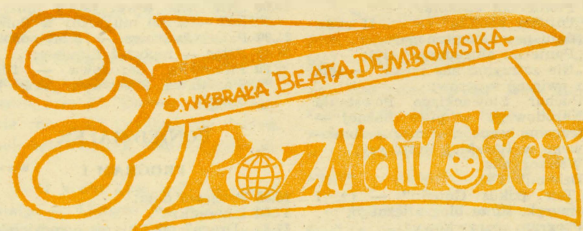
I jak tu rządzić
w tym kraju,
gdy wszyscy się
na tym znają?

ŚEDNO

To nie świadomość
lecz spryt
kształtuje dzisiaj byt

JUŻ PORA

Czas już pomyśleć, by Odnowa
nie utonąła w wielkich słowach.



— Postuluj, żeby jedno łóżko w szpitalu przypadło na jednego pacjenta.

Rys. JULIUSZ PUCHALSKI

Eugeniusz Korkosz

Fraszki z morskiej plaży

DODATKOWE ZABEZPIECZENIE

Dla żonatego nad morzem
Plaża podwójnie strzeżona.
Nad wodą czuwa ratownik.
Na plaży wartę ma żona.

PLAŻOWE ROWNOUPRAWNIENIE

Zgodnie ludzie różnych fachów
Obok siebie leżą w piachu.

BABKI ŻONATEGO

By się ustrzec w domu wrzasku,
Pieczęcie sobie babki... z piasku.

KONIEC URLOPI

Kończąc się wczasy wraz
z przegodami —
Czas się cozejrzeć za żyrafantami...

ZAŻENOWANIE

Pacjentka do lekarza psychoanalityka:

— Co noc mi się śni, że idę ulicą zupełnie nago w kapeluszu na głowie. a tłum mężczyzn podąża za mną krok w krok.
— To ciekawe. A czy odczuwa pani podążanie tego snu jakieś zażenowanie?
— A jak pan myśli? W kapeluszu z zeszłego roku?

UCZNIOWIE

Ojciec do syna:
— Coście robili dzisiaj w szkole?

— Na lekcji chemii badaliśmy materiały wybuchowe.
— A co będziecie robić jutro w szkole?
— W jakiej szkole?

SZKOCKI PODRYW...

W kawiarni dwaj młodzi ludzie przyglądają się dziewczętom.

— Podejdźcieżny? — pyta pierwszy.
— Tak, ale trochę poczekajmy.
— Dlaczego?
— Niech przedtem zapłacą rachunek

Gabriel Laub

Typowa inteligenckość

Królewski prokurator polecił aresztować grupę ludzi i oskarżyć ich, że są inteligentami.

Dowodów nie było, więc królewski sędzia skazał ich na śmierć.

Królowej jednak nie chciało się iść na egzekucję, ponieważ akurat miała większą ochotę na komiczną pantomimę, toteż król obiecał skazańcom łaskę, jeśli udowodnią, że potrafią być użyteczni swemu monarsze.

Pierwszy z nich opracował model stereometryczny, z którego wynikało, że szubienica nie musi mieć dwóch ramion, ale może mieć także cztery.

Drugi obliczył, ile można zaoszczędzić na godzinach nadliczbowych pomocników kata, jeśli egzekucja zostanie przeniesiona z godzin popołudniowych na ranne.

Trzeci zaproponował, by egzekucje publiczne odbywały się po południu — wówczas będzie mogła wziąć w nich udział także młodzież szkolna, co — mocni efekt wychowawczo-propagandowy.

Chemik opracował technologię produkcji pompy syntetycznych — oryginalne pomysły, którymi dotychczas karmiono więźniów, będzie można odtąd dawać królewskim szwiniom.

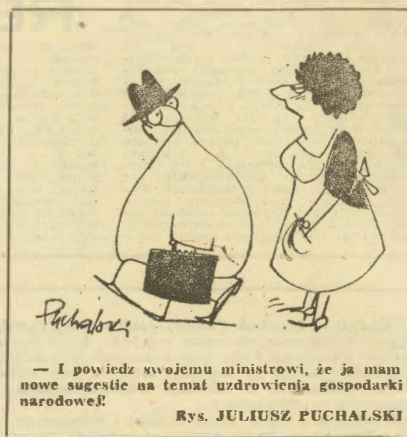
Kantor, który miał wykształcenie muzyczne, ułożył śpiewnik dla dzieci i rytmicznych pieśni dla królewskich siepaczy.

Moralista-zawodowiec napisał traktat przeciw niezdolności w którym oskarżył swego doradcę, że wybił mu o dwa zęby mniej, niż pozwalały na to normy prawa feudalnego.

Okazało się, że również inteligenci mogą być przyteczni, gdy się starają. W decydującym momencie wszyscy postąpili jak normalni ludzie.

Jeden tylko zachował się jak zatwardziały inteligent. Nie uczył niczego na swoją obronę. Zastrzegł sobie i dyne, by na jego grobie napisali, że zgodził się na swoją egzekucję.

Przełożył ANTONI KROH



— I powiedz swojemu ministrowi, że ja mam nowe sugestie na temat uzdrowienia gospodarki narodowej!

Rys. JULIUSZ PUCHALSKI